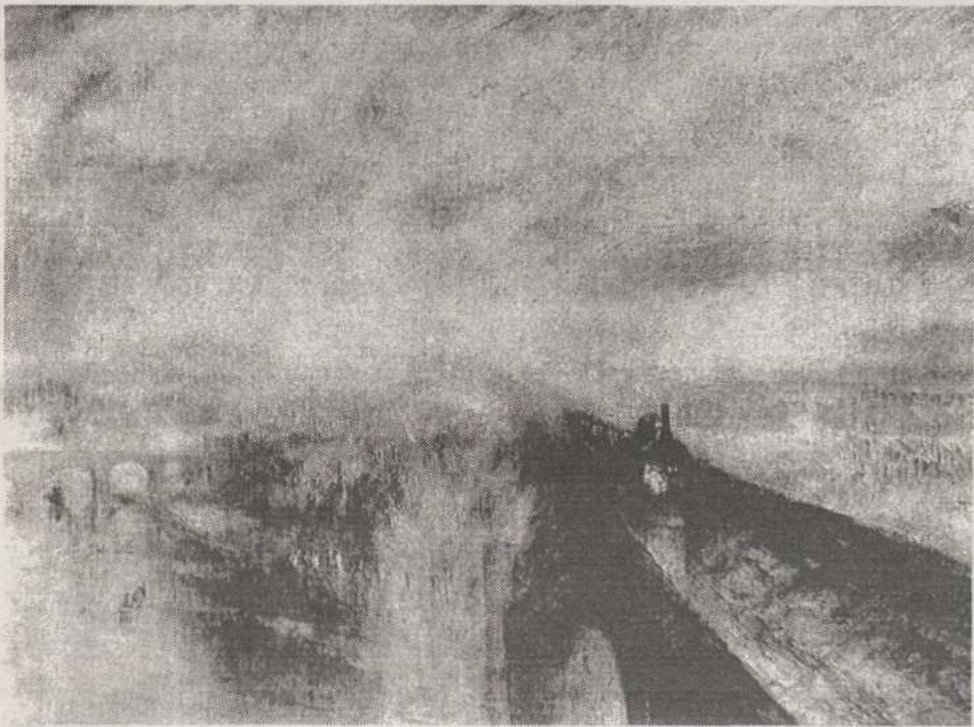


DEKADA Literacka

Henryk Markiewicz o krakowskich uczonych ■ Marcin Ciupek o studentach ■ Proza Marianne Gruber
■ Julian Kornhauser: Kosovo Polje we współczesnej poezji serbskiej ■ Recenzje ■ Felietony



William Turner, *Deszcz, para, szybkość*, 1844

Doczekaliśmy czasu, w którym czytelnika, zwłaszcza czytelnika młodego, indywidualne losy bohatera oraz otwarta na wszelkie wartości złożoność życia interesują bardziej niż narodowa martyrologia cierpienia i ofiary. W prozie Odojewskiego — wbrew powierzchownym sądom — znaleźć można i jedno i drugie. Dzisiaj przestaje być on ważny ze

podczas ostatniej wojny, rzuconego w wir bratobójczych walk, poddanego wtajemniczeniu w miłość i śmierć. *Wyspa ocalenia* nie mogła się ukazać w tamtym okresie ze względu na swoją kresową, polsko-ukraińską osnowę. Osnowę a nie tematykę, ponieważ delikatnie zarysowane wschodnie realia stanowią w tym utworze jedynie tło (choć bardzo istotne) dla

„...JEŚLI SPOJRZEĆ ZA SIEBIE WSTECZ”

O prozie Włodzimierza Odojewskiego

Paweł Kempny

względem na odwagę mówienia prawdy o Katyniu, nie będzie funkcjonował również jako pisarz ściśle historyczny, bo jego utwory pełne są historycznych nieścisłości. Jeśli zaistnieje — to z pewnością inaczej: jako autor przede wszystkim ciekawej, intrygującej literatury.

LITERACKA BIOGRAFIA

W latach sześćdziesiątych Odojewski należał do najzdolniejszych i — w opinii Tomasza Burka — najlepiej zapowiadających się przedstawicieli pokolenia „Współczesności”¹. Był osobnym, liczącym się zjawiskiem na mapie młodej literatury. Ale w istocie debiutował o wiele wcześniej — w 1951 roku. Wtedy, mając dwadzieścia lat, za maszynopis powieści pt. *Wyspa ocalenia*, otrzymał nagrodę młodych im. Tadeusza Borowskiego. Poświęcona przeżyciom szesnastoletniego chłopca, gdzieś na Podolu,

podczas ostatniej wojny, rzuconego w wir bratobójczych walk, poddanego wtajemniczeniu w miłość i śmierć. *Wyspa ocalenia* nie mogła się ukazać w tamtym okresie ze względu na swoją kresową, polsko-ukraińską osnowę. Osnowę a nie tematykę, ponieważ delikatnie zarysowane wschodnie realia stanowią w tym utworze jedynie tło (choć bardzo istotne) dla

inicjacyjnego dramatu głównego bohatera. Autor wydał ją w 1966 roku, prawdopodobnie w zmienionym kształcie stylistycznym świadczącym już o dojrzałości warsztatu. Do tego czasu napisał trzy socrealistyczne zbiory opowiadań, dwie przygodowe książki dla młodzieży oraz pięć tomów nowej, popaździernikowej prozy. Prawdziwą zapowiedzią światopoglądowej przemiany, a zarazem znakiem czasu, w którym powstawało, okazało się *Białe lato* — studium umerania uczuć pomiędzy kobietą a mężczyzną skazanym na życie w świecie, w którym samorealizacji towarzyszyć musi konformizm, a bunt prowadzi do odsunięcia na boczny tor, do zmęczenia, niedowartościowania i niszczy w człowieku to, co najlepsze, bo bezinteresowne.

Pokoleniowe obrachunki autor kontynuował w *Miejscach nawiedzonych* — monologicznej powieści ciężko chorego

Tomasz Tranströmer

Szkic z 1844 roku

Twarz Williama Turnera ogorzała od wiatru
Rozkłada sztalugi aż w kipieli.
Zanurzamy się w głębiny wraz zielonosrebrną liną.

On brnie w płyczną królestwa śmierci.
Pociąg wtacza się. Zbliź się.
Deszcz, deszcz przeciąga nad nami.

grudzień 1992

Światło się wdziera

Za oknem długie zwierzę wiosny
przezroczysty latawiec blasku słonecznego
przelewa się jak kolejka podmiejska
bez końca — nawet nie zdołaliśmy zobaczyć głowy.

Wille nadbrzeżne przesuwają się w bok
są dumne jak kraby.
Słońce rozmruguje posągi.

Wściekłe morze ognia w przestrzeni
uziemnia się w pieszczotę.
Rozpoczęło się odliczanie czasu.

maj 1993

tlumaczył Leonard Neuger

i w związku z tym upokarzająco uzależnionego od ukochanej kobiety pisarza. Bohater Odojewskiego przeżywa w tej książce swój prywatny i zawodowy, uczuciowy i intelektualny kryzys.

Kłopoty z istnieniem osiągają apogeum w *Kwarantannie*: zbiorze układających się w konsekwentny ciąg opowiadań, których najważniejszym problemem stają się, zadawane już w utworach wcześniejszych, pytania o istotę przemijania, o status jawy i snu. W dwa lata po wydanej w 1962 roku *Kwarantannie* Odojewski publikuje najważniejszą chyba wówczas swoją książkę — *Zmierzch świata*. Jest to znowu zbiór opowiadań, tworzących spójną całość tematyczną. Otwiera go utwór będący znakomitym obrazem września 1939 roku, kończy opowiadanie, którego akcja rozgrywa się gdzieś pod koniec wojny. Wbrew narzucającym się skojarzeniom z *Wyspą ocale-*

nia Zmierzch świata jest książką zupełnie inną. To równocześnie fragmentaryczny fresk historyczny i przypowieść egzystencjalna, mówiąca o doznawaniu istnienia i doznawaniu dziejów. Człowiek Odojewskiego, mimo całego heroizmu trwania w opozycji wobec Historii, od początku skazany jest na przegraną. Odczucie to radykalnie i konsekwentnie występuje w całym cyklu podolskim, a Maria Janion nazywa je wprost „oczekiwaniem na upadek i zniszczenie”².

W latach następnych Odojewski pisze świetną literacko, ale opartą na podobnym co opowiadania z *Kwarantanny* pomysłem konstrukcyjnym — mikropowieść *Czas odwrócony*. Utwór jest zaskakującą, paradoksalną jak *Rondo* Brandysa, historią z pogranicza jawy i snu, rzeczywistości i metafizyki, obrazem nieczystego sumienia i przekraczającej prawdopodob-

DOKOŃCZENIE NA STR. 516

CO NOWEGO W PRASIE

Okarolu X królu francuskim powiada-
no, że jednym okiem się śmieje, a dru-
gim płacze. Podobnie wyglądać mogą ludzie
interesujący się społecznym funkcjonowaniem
kultury w naszym kraju po lekturze ostatnich
doniesień prasowych na ten temat. Bo na
przykład, wbrew malkontenckim opiniom
i powszechnemu stereotypowi okazuje się, że
czytamy dziś więcej niż w PRL. „GAZETA
WYBORCZA” w n-rze 211 opublikowała
jako pierwsza wyniki ostatnich badań so-
jologicznych przeprowadzonych ub. roku
przez Instytut Książki i Czytelnictwa na re-
prezentatywnej grupie losowej 2 tys. Polaków.
IKC prowadzi takie badania w odstępach
kilkuletnich, poprzednie miały miejsce w 1985.
I otóż dziś (ściślej: w 1922) czyta książki 70
proc. Polaków powyżej 15 roku życia, podczas
gdy w 1985 czytało tylko 59 proc. W ciągu
roku ukazuje się 15–17 tys. nowych tytułów,
a w latach '80 zaledwie 3–5 tys., wliczając w to
produkcję podziemną. Wbrew stereotypowi
o zbyt drogich i przez to trudno dostępnych
książkach wzrosła również liczba ich zaku-
pów: 21,5 proc. czytających kupuje książki,
w r. 1985 kupowało tylko 16 proc. (pozostali
czytający pożyczali i pożyczają, przede wszystkim
od znajomych — z bibliotek publicznych
korzysta jedynie 17 proc.).

Jak dotąd, nasze prawe oko radośnie się
śmieje. Popatrzmy więc lewym okiem: statys-
tyka wykazuje gwałtowny spadek liczby pro-
dukowanych egzemplarzy; jeszcze w 1990 wy-
nosiła ona 75 mln, a w latach następnych już
tylko po 25 mln (tu wszelako zaznaczyć trzeba,
że w latach '80 wiele tytułów ukazywało się
w olbrzymich nakładach, z których znaczna
część szła na przemiał). Po drugie, w badniach
IKC statystykę książek i ich czytelnictwa pod-
noszą bardzo takie pozycje, jak np. broszurki
z przepowiedniami, z poradami jak wygrać
miliard, jak mieć permanentny orgazm lub
zdobyć atrakcyjną pracę za granicą. Tego
rodzaju pozycje ukazywało się dawniej znacz-
nie mniej. Rozczytanie się wsi — konkretnie
wiejskiej młodzieży — to przede wszystkim
„niewymagająca książka”, głównie romanse
Harlequina.

Bardzo ciekawe są informacje, jakie książki
kupujemy. Są to kolejno: poradniki (31
proc.), tzw. literatura chwili, czyli głównie
wyznania słynnych osobistości (25 proc.), lite-
ratura religijna, przede wszystkim *Biblia dla
najmłodszych* kupowana z okazji I komunii (19
proc.), romanse (16 proc.), sensacje (12 proc.),
ambitna beletrystyka (11 proc.), horrory i fan-
tastyka (8 proc.). Natomiast kolejność książek
czytanych kształtuje się nieco inaczej: ro-
manse (22 proc.), sensacje (18 proc.), „literatu-
ra chwili” (14 proc.), ambitna beletrystyka (11
proc.). Ta ostatnia pozycja jest więc w tym
samym stopniu czytana, jak kupowana. I chy-
ba te 11 proc. w skali całego czytelnictwa,
w konkurencji z poradnikami, informatorami,
i z najgorszą szmirą — to wynik bardzo dobry.

Na uwagę zasługuje też informacja, jaką
przyniosła również „GAZETA WYBOR-
CZA” w n-rze 213: w Polsce prywatny mecenat
wreszcie wystąpił w sposób iście imponujący!
Siedemdziesięciu wielkich biznesmenów ufundowało
nagrody po 100 mln zł za wybitne
osiągnięcia w dziedzinie plastyki, muzyki, lite-
ratury, teatru-filmu oraz za działalność or-
ganizacyjną. Pierwszymi laureatami zostali:
Magdalena Abakanowicz, Witold Lutosławski,
Julian Strykowski, Janusz Warwiński
i Stefan Sutkowski (organizator m.in. warszawskiego
Festiwalu Mozartowskiego). Prawe oko znów
radośnie się śmieje, brawo, brawo, z polską sztuką
polski kapitał! Lewe oko z lekką jednak łzawą: tak
efektowne gesty nie wpływają przecież na ogólną
sytuację kultury, na jej rozwój, konsumpcję,
powszechny prestiż, nie ułatwiają startu młodym
artystom, nie poprawiają losu pracowników kultury.
To miło, że biznesmeni uhonorowali najwybitniejszych
twórców, ale właśnie oni — ludzie
o międzynarodowej sławie — tego rodzaju
wyróżnień już nie potrzebują, bo posiadają
znacznie zaszczytniejsze. Ich prestiż jest już jak
gdyby innego wymiaru. To nie lokalny bogacz
honoruje świetnego artystę, wręczając mu czek
— to artysta nobilituje bogacza, przyjmując od
niego nagrodę. A na marginesie: w przed-
wojennym podręczniku dla gimnazjów pt. *Mó-
wią wieki* była piękna opowieść o księdzu
Baudouinie, misjonarzu warszawskim z XVIII
w., który podczas kwesty na rzecz sierot,
znieważony przez brutalnego magnata przyjął
spokojnie policzek mówiąc: *To dla mnie. A co
dla moich dzieci?*

J.L.

W tegorocznych wiosennych i letnich
Zeszytach Literackich (1993, nr 42,
43) Wojciech Karpiński poświęca swe *Listy
z Paryża* zapisane w listach i obrazach osobo-
wości Vincenta van Gogha w ostatnich latach
jego życia, już po pierwszych napadach szaleń-
stwa i rozpoznaniu choroby psychicznej. We
wcześniejszych listach malarza do brata Theo
i przyjaciół do głosu dochodzi lęk przed melan-
cholią; późniejsze — pisane już po pierwszych
atakach — wyrażają jakiś rodzaj uspokojenia,
że to, co nieodwołalne, już się dokonało: *Muszę
się pogodzić ze swoim losem, faktem jest, że wielu
malarzy dostaje obłędu, ten rodzaj życia czyni
ludzi, żeby powiedzieć najlagodniej — oderwanymi
od życia. Jeżeli potrafię wrócić do pracy, będzie
dobrze, ale zawsze będę pomylony.*

Karpiński przytacza różne opinie krytyków
na temat związków choroby van Gogha z jego
twórczością: *Bart de la Faille, wyjątkowo
zasłużony badacz van Gogha (...), napisał, że
jego malarstwo jest wspaniałym wcieleniem rze-
czywistości. Ci, którzy nie potrafią zrozumieć
jego wizji a wiedzą coś o jego życiu, ratują
własną bezradność słowem szaleniec.* »Gdyby
nie wiedzieliśmy o jego życiu, żaden intelek-
tualista nie ośmieliłby się określić jego malarst-
wa jako tworu wariata». W „*Rodzinnej Euro-
pie*” Czesława Miłosza można znaleźć argu-
ment przeciw tej tezie: »Szczegół dotyczący

obrazów van Gogha. Kiedy stanąłem przed nimi
po raz pierwszy nie znalazłem jego biografii.
Przebiegł przeze mnie prąd rewolwy przeciw
czemuś nieprzyzwoitemu. To malował obłąka-
ny, tak nie wolno malować nieba.»

Próbując rozwikłać te sprzeczności, Karpiński
powołuje się na świadectwo samego van
Gogha, który pisał do siostry, że w niektórych
swoich obrazach sam rozpoznaje ślady choroby.
Podobne uwagi zamieszczał w listach do Thea.
Osobowość Vincenta przeciwstawia on nie
tylko buntownikom poezji i teatru, ale także
filozofowi, na którego życia i twórczości cho-
roba psychiczna wycisnęła podobnie silne pię-
tno — Fryderykowi Nietzschemu.

W twórczości van Gogha upatruje Karpiński
autobiografię i autoterapię — co zgadzało-
by się z teoriami psychiatrycznymi, uważającymi
psychoanalizę i ekspresję w sztuce za istotne
elementy procesu leczenia. W „*La Berceuse*”
Vincent stara się być lekarzem samego siebie.
*Jest w tym obrazie poszukiwanie spokoju, lecz
jest także jakaś martwość i sztywność wyrazu,
jakby rzeczywistość drugiej osoby pozostawała,
niedosiężna, poza ramami płótna.* Choroba
była dla niego bodźcem do tworzenia i podobnie
jak w jej napadach szaleństwo mieszało się
z apatią, w obrazach z Saint-Rémy i Auvers
tonacje radosne (złoto-zielono-błękitne) i po-
nure (czarno-czerwone) sąsiadują na powsta-
jących jeden po drugim obrazach.

W wiosennym numerze *Zeszytów Ewa Bień-
kowska* próbuje zrozumieć skomplikowaną
historię Roberta Brasillacha — francuskiego
krytyka, dziennikarza, poety i powieściopisa-
rza, fenomenalnie zdolnego chłopca, który w la-
tach 30. i 40. uległ fascynacji nacjonalizmem
i zachodnioeuropejskimi odmiannymi totalita-
ryzmu i stał się głosicielem kolaboracji, mają-
cej zapoczątkować nową erę w dziejach Euro-
py. W 1945 roku został skazany na śmierć
przez sąd aliancki. *Pośród zaczynających od
nie tylu marzycieli, dusz pięknych i wrażliwych
stało się w naszym stuleciu współnikami zbro-
dni. Dlatego warto co jakiś czas powtarzać sobie
ich historie. (...) Są często bogate, pełne drama-
tyzmu, ciepłe od marzenia. I wszystkie mają
jakiś zasadniczy feler, ślepią plamę w polu
widzenia i jakąś zbyt prostą logikę (wierność
sobie? idealowi? młodości?), która prowadzi na
brzeg przepaści — tak uzasadnia Bieńkowska
wybór swojego bohatera.*

Bieńkowska śledzi dzieje Brasillacha zaczy-
nając od jego młodości w ekskluzywnych szko-
łach paryskich: *Kult inteligencji miesza się tu
z kultem koleżeństwa, indywidualizm z życiem
w grupie, wśród wybranych towarzyszy (...).
Wszystko tu jest jak wycieczka w wesołej ban-
dziej: pierwsze lektury własnych tekstów w gro-
nie przyjaciół, radagowanie pisma, zebrania
polityczne. W podobnym duchu odbędzie podróż
do Norymbergi i na linię frontu w Toledo, gdzie
rozpozna się w młodzieńczej czystości walczą-
cych frankistów. Zapewne zdziwiłyby go teorie
zaangażowania, pretensjonalne, oparte na pseu-
doreligijnej idei poczucia winy i potrzebie uspra-
wiedliwienia. Szedł po prostu za głosem instynk-*

tu — tam, gdzie radość, koleżeństwo, antykon-
formizm, odmowa ustabilizowania; tam, gdzie
spotka równość, grupę spojony wspólnym
zmysłem humoru, wspólną niezgodą na kom-
promisy dorosłych. Gdyby tak cały świat prze-
kształcił wedle wzoru tego, co najautentyczniej-
sze, na wzór młodzieńczego spisku przyjaciół,
jedynę rzeczy, która nie kłamie. Tak opowie-
dziana byłaby to historia o chłopcu, który nie
chciał urosnąć.

W młodości Brasillach wahał się między
przyjęciem autorytetu Gide'a i moralności wy-
zwoleńców pragnień bądź Claudela i poszukiwa-
nia świętości. Ostatecznie związał się z Char-
lesem Maurrasem, radykalnym wielbicielem
klasycyzmu, piewą potęgi Francji i geniuszu
francuskiego — człowiekiem, którego poglądy
Bieńkowska określa jako *pomyłkę w historii
współczesnej*. Od tego spotkania rozpoczyna się
subiektywna wielkość Brasillacha i jego — z pu-
nku widzenia świata — tragedia i upadek.

Jego losy potoczą się prosto i szybko. Wy-
staniego do Norymbergi korespondenta gazety
zafascynuje *odnowa narodowa, odnowa wiary,
entuzjazm, wspólnota. Duch dyscypliny, po-
święcenia, fizycznego i moralnego zdrowia;*
jako korespondent wojenny na froncie hisz-
pańskiej wojny domowej ulegnie oczarowaniu
wspólnotą krwi i śmierci. W swych powieściach
dotyczących tego okresu da wyraz uczuciom

RAZ W MIESIĄCU

To co najtrudniejsze

skrajnie odmiennym od tych, jakie znamy
z książek Hemingwaya, Koestlera i Orwella.
Rozczaruje się po powrocie do Francji, gdzie
w 1938 roku zetknął się z przygotowaniami do
wojny z Niemcami. Swoją Francję odnajdzie
dopiero za Pétaina.

Równoległe do pracy dziennikarskiej, w któ-
rej donosi na profesorów Sorbony, wzywa do
walki z partyzantką i wreszcie — od roku 1943,
kiedy uświadamia sobie, iż stoi na przegranych
pozycjach — zożydza Anglików i Ameryka-
nów, Brasillach pozostaje „klasycystą”: przy-
gotowuje antologię poezji greckiej, recenzuje
wydarzenia teatralne sezonu 1943/44, *jest w sta-
nie wejść z sympatią w dzieło tak mu obce, jak
„Przy drzwiach zamkniętych” (Sartre'a) — od-
czyta w nim najstraszliwszą spowiedź stulecia bez
wiary; „Antygona” Anouilha wzrusza go w inny
sposób, widzi w niej własny los: wyrzeczenie się
szczęścia w imię obowiązku.* Bieńkowska zwraca
uwagę na schizofreniczność tych dwóch wą-
tków ideowego życia Brasillacha, pytając, *kiedy
ten człowiek jest bardziej sobą, w którym z tych
dwóch wcielił?*

Pytanie to pozostaje bez odpowiedzi, po nim
następuje już tylko krótka koda: sprawozdanie
z procesu i jedna z ostatnich uwag, może jedna
z najważniejszych w wartej przypomnienia (ku
przezdrowie?) biografii tego człowieka — mię-
dzy wyrokiem i egzekucją Brasillach znalazł-
szy się w stanie ferworu pisarskiego, ujrzał
i opisał siebie w *społeczności wybranych, tych,
którzy zmobilizowali przeciwko sobie sprawied-
liwość ziemską: Antygona, Sokrates, Jezus,
Joanna d'Arc, André Chenier...*

W numerze letnim znajdziemy ponadto wie-
lce ciekawy (aczkolwiek nieco hermetyczny)
szkic Jana Kotta o *Moby Dicku* Hermana
Melville'a, powieści o wielorybnikach, której
złożoność fascynowała od samego początku
najtęższe umysły świata, oraz pierwszy od-
cinek nowego cyklu Stanisława Barańczaka
Przekładanie nieprzekładalnego, poświęconego
tym razem próbom tłumaczenia (zbiorowego,
we współpracy z tłumaczami amerykańskimi)
poezji polskiej na język angielski. Pisze Barań-
czak: *Powołuję do życia niniejszy kącik po to,
aby co kwartał przedstawić Czytelnikom (...) jakiś,
na ogół dobrze znany albo wręcz sławny
wiersz polski w eksperymentalnej wersji angiel-
skiej (...). Mogę z góry obiecać, że swoje
poszukiwania mitycznego wiersza nieprzekłada-
lnego będę prowadził uczciwie; inaczej mówiąc,
prędzej czy później zabrnijemy w maticznik
nieprzekładalności absolutnej — a przynajmniej
takiej, która na absolutną wygląda — gdzie
gnieździ się ścisła elita poetów polskich, których
rzeczywiście nikomu dotąd przelożyć zadowala-
jąco się nie udało.*

Na początek Barańczak serwuje trzy prze-
kłady dokonane wspólnie z Clare Cavanagh,
a wśród nich kasek tak smakowity jak Kon-
stantego Ildefonsa Gałczyńskiego *Dlaczego
ogórek nie śpiewa* czyli *Why Does the Pickle
Never Sing?*

Agnieszka Fulińska

Na jubileuszu Piwnicy w roku 1976
opowiadałem o zabawach literac-
kich krakowskich uczonych. Dla symet-
rii opowiem teraz jak bawiono się, żar-
tując sobie z tych uczonych. Zacząć
można by zapewne od czasów staropols-
kich, ale pamięć podpowiada mi tylko
dosadną fraszkę Jana Kochanowskiego
(nie wiadomo zresztą, czy na krakow-
skich obserwacjach opartą) o owym ma-
tematyku, co to:

Ziemię pomierzył i głębokie morze,
Wie, jako wstają i zachodzą zorze,
Wiatrom rozumie, praktykuje komu,
A sam nie widzi, że ma kurwę w domu.

Wobec luk w mojej staropolskiej eru-
dycji przeskakuję od razu w schyłek
osiemnastego wieku. Oto gdy w roku
1789 profesor Jacek Przybylski ogłosił
broszurę *Heautomastix* czyli *bicz na siebie
samego*, będącą odpowiedzią na pamflet
Franciszka Ksawerego Dmochowskiego
*Zakus nad zaciekami Wszechnicy Krako-
wskiej*, tenże Dmochowski replikował sa-
tyrycznym poematem *Urywek bicza krę-
conego w Krakowie*, w którym skarykату-
rował owego Przybylskiego, jak się od-
graża:

Niechaj przecie poznają ze swą szkodą
wrogi,
Jako Kraków zamożny w bicze i batogi;
I niech strach dziesiątego z daleka
przenika,
Gdy losem krakowskiego napotka
wszechnika.

Krakowski profesor jest — w tym
krzywym zwierciadle — bardzo dobrego
mniemania i o sobie, i o swojej uczelni:

W każdej głowa uczona zasiadła
w katedrze:
Blask światła przez największe ciemności
się przedrze,
Na wszystkie strony bije jasność tych
promieni...

I tu informacja ciekawa, niestety nie-
aktualna:

Dobrze u nas i w głowie, dobrze
i w kieszeni.
I chociaż my do Szkoły chodzimy nie
najwięcej,
Jednak na Wszechnię daję Skarb krocic
tysięcy.
A teraz jaki dla niej przybył zaszczyt nowy,
Przez nazwisko z obfitej mojej wyszłe
głowy.

Trzeba bowiem wiedzieć, że wyraz
„wszechnica” wymyślił właśnie Przybyl-
ski jako odpowiednik łacińskiej nazwy
„universitas”. Na zarzut niejasności od-
powiada bohater w sposób godny praw-
dziwego erudyty:

Ciemnoty mi zarzuca, piękny zarzut
właśnie,
Wszak co ciemno po polsku, po grecku
wyjaśnię.

Rzecz ciekawa, że satyryczne wycieczki
przeciw krakowskiemu uczonemu wtedy by-
ły najczęstsze, gdy uniwersytet przeżywał
chwile wielkiej świetności, tj. w dobie
autonomii galicyjskiej. Na chwałę ów-
czesnych luminarzy trzeba powiedzieć, że
potrafili oni śmiać się sami z siebie.
W *Tece Stańczyka* (1869) czytamy o Józe-
fie Szujkim, że „mu historia przeszkadza
być poetą, a poezja być historykiem”, zaś
o Stanisławie Tarnowskim, że pisze
o wszystkim, a gdy mu wiedzy w jakiejś
kwestii braknie, „radzi sobie w ten spo-
sób, że rzecz, o której sam nie wie,
przedstawia jako rzecz wszystkim wiado-

ma". Czytelnik jest zażenowany swoją ignorancją; *Teka* go pociesza:

Nie wstydz się czytelniku, Twój autor nie wie więcej od ciebie, a kiedy Ty szperasz po leksykonach, żeby się przecież dowiedzieć tego, co wszyscy wiedzą, on sobie rękę zaciera i śmieje się z Twojej łatwości.

Trzeba dodać, że autorem tego fragmentu *Teki* był nie kto inny, tylko właśnie Tarnowski...

Satyryczny, lecz goryczą zaprawiony autoportret wymalował sobie Karol Estreicher, twórca *Bibliografii polskiej*:

Krakowscy uczeni w satyrze i anegdocie

Henryk Markiewicz

Wściekły gryzmoła — jedna z twardych natur,

Choć o nim milczą dzieje literatur,
Choć o nim nie wie legion dziennikarzy —
On pcha w świat dzieła, świstki i broszury,
Każdej sprzedając po sześć egzemplarzy...
Resztę w lamusie nadgryzają szczury.

Przytoczmy jeszcze początek żartobliwego wierszyka, który Estreicher napisał podczas zjazdu historycznoliterackiego im. Kochanowskiego w roku 1884 — nie pozbawiony do dziś aktualności:

Zjazd dla historii literatury
Zamki na łodzi dźwigał do góry.
Nie brakło fresków, rzeźb, ornamentów...
Stanęły mury bez fundamentu.
Nie dosyć stawiać gmachy od szczytu,
Runą, gdy nie ma u stóp granitu.

Oczywiście — z dalszej treści wiersza wynika, że tym granitem może być tylko bibliografia¹...

Współczesny Tarnowskiemu i Estreicherowi filolog klasyczny, Kazimierz Morawski, także dworował sobie z krakowskich uczonych w satyrycznym prologu, którym poprzedził premierę *Lysistraty* Arystofanesa w teatrze krakowskim w roku 1896:

Gdyby Sokrates z Hadesu przestworów
Zjawił się nagle wśród waszych penatów,
Złakłby się widząc tyłu profesorów
Tyle przybytków wiedzy i warsztatów (...)
Mniemałby chyba, że w waszej stolicy
Więcej uczonych, niż myśli się rodzi (...)
Do nazwy mędrca wielu prawa rości,
A po delfickiej wieszczki abdykacji
Są tu wyroczone z własnej nominacji.

Własne żarty łatwo znosić. Gorzej, gdy z nas żartują inni. Mocno zabolął stańczyków wiersz Adama Asnyka *Historyczna nowa szkoła* (1894), zarzucający jej, że wielbi siłę i „spełnionych faktów koleje” (coś niby „ukąszenie heglowskie”) i tym sposobem „z rąk jej rozbiór Polski wziął chrzest misji apostolskiej”, „jasną gwiazdą lśni despotyzm”; dziś twierdzi, że „Kościuszkę to był wariat, co buntował proletariata”, jutro będzie dowodzić, że „król Herod dobroczyńcą był dla sierot”.

Z nadejściem pokolenia Młodej Polski złośliwości było coraz więcej. Najczęściej kierowane były w stronę Stanisława Tarnowskiego. Dwa zajęcia za jednym strzałem ubił Adolf Nowaczyński, opowiadając w *Facecjach sowizdrzal-skich* (1903), że „na jubileusz 25-letniej pracy scenicznej na katedrze Stacha Tarnowskiego” nadszedł od Piotra Chmielowskiego telegram tej treści: „Lekceważenie Twego komizmu i antypatia do Twej starczej kokieterii zrodziły wielkość mojej nicości”.

Wcześniej jeszcze Nowaczyński w satyrze *Kraków z roku 1901* pisał:

Siedzi na Szlaku pan Twardowski.
Z ust mu wciąż płynie potok boski,
Klaszcze z pokorą naród wszelki.
Karmi umysły młodociane
Wciąż ten mandaryn katedralny,
Rzuca frazesów groch o ścianę
Kasztelan błagi idealnej.

Dostało się tu nie tylko Tarnowskiemu, Klacze i Zdziechowskiemu, ale całemu uniwersytetowi jako „Almae Matri protectionum”, idącej pod hasłem „ręka ręce myje”, a tępiącej autentycznych uczonych:

A jeśli jakiejś innej fasji
A nie prostytut swej nauki,
Wejście pomiędzy te nieuki,
Wnet jest powodem wszystkich pasji,
Wszelkich niechęci, intryg, jądów
I zda się mu w piekielnym swarze,
Że wlaż już w samo centro gadów,
Nie między wiedzy luminarze.

Podobnie charakteryzuje *Profesora Akademii Krakowskiej* Przemysław Smolik w *Figlach i fraszkach przez Imię Pana Niby-Reja* (1911):

Szkolą temu hrabiowskie są antykamery,
Talentami: frak grzeczny i śkliste lakiery,
Wiedzą: uśmiech oblesny, wprawa w ruchach grzbietu,
Gdy hrabinom wygodził, wżdy godzien beretu.

Pyszalkowatych „uczonych” wyszydzał także Kazimierz Bartoszewicz w *Słowniku prawdy i zdrowego rozsądku* (1905):

Gatunek ten w ostatnich latach rozrósł się ogromnie. Uczonek wynajdzie lub zbadają jakiś drobiazg, będący „ziarnkiem w korcu maku” nauki i zaraz się nadyma, lekceważy pracę poprzedników, uważa za osła każdego, kto nie przeczytał książki akurat przez niego przeczytanej itp.

Ta żółciowa satyra — przyznać trzeba — niezbyt jest dowcipna, toteż rychło o niej zapomniano. Wszyscy natomiast do dziś pamiętają *Słówka* Boya-Żeleńskiego, więc pominię tu i *Krakowski jubileusz*, i *O bardzo niegrzecznej lite-*



Rys. Andrzej Stopka

Rep. Marek Sajduk

raturze polskiej i jej strapionej ciotce (ta ciotką jest Tarnowski) i fraszkę *O tem co w Polsce dzieiopsis mieć winien*. Warto jednak przypomnieć, że pomysł do tej fraszki dał lwowski uczyony Szymon Askenazy. Rozgorączony wyznaniowymi restrykcjami obowiązującymi przy przyznawaniu nagrody Akademii Umiejętności im. Barczewskiego (z powodu których zresztą Akademia w swym komunikacie ubolewała), miał powiedzieć do Kazimierza Morawskiego, że wobec tego powinna ona „ogłądać nie książki kandydatów, ale ... zupełnie, ale to zupełnie co innego”.

Wraz z tym powiedzeniem Askenazego wchodzimy w obszerną, a słabo rozpoznaną dziedzinę ustnego folkloru uniwersyteckiego (formuła Kazimierza Wyki). Kiedyś, w roku 1956, Leon Płoszewski wręczył Franciszkowi Bielakowi kartę tytułową dzieła, które miał on napisać: *Kraków uczyony w anegdocie*. Niestety, Bielak nie wypełnił tej białej plamy w dziejach krakowskiej nauki. Dziś z apelem takim trzeba by się zwrócić do profesorów Stanisława Urbańczyka i Tadeusza Ulewicza.

Tymczasem, korzystając m.in. z tego, co od nich zasłyszałem, kilka owych anegdot chciałbym tu przypomnieć. Kłopot w tym tylko, że niektóre z nich mają charakter wędrowny czy przechodni, tzn. łączone są w różnych przekazach z różnymi nazwiskami. Tak więc krąży anegdota o językoznawcy, który słysząc z podwórza nawoływania „Wągle, wągle...”, wzywa sprzedawcę do swego mieszkania i poucza go, że mówi się nie „wągle”, lecz „węgiel”. Otrzymałszy zaś w odpowiedzi jędrną propozycję, koryguje z niezmaconym spokojem: „nie w dupę, tylko w dupę”.

Opowiadają tę anegdotę o Kazimierzu Nitschu, co jest nieprawdopodobne, bo Nitsch zwalczał hiperpoprawną wymowę. Bardziej prawdopodobny jest tu językoznawca starszego pokolenia Lucjan Malinowski, a najprawdopodobniejszy — starszy jeszcze Antoni Małeki, profe-

sor lwowski, ale w młodości także w Krakowie wykładający, więc z czystym sumieniem go tu wymieniam.

Wędrowny charakter ma anegdota o profesorze prawa rzymskiego (u nas łączy ją z Rafałem Taubenschlagiem), który nawiązując do ustawy starożytnego Rzymu, zezwalającej pono tylko kobietom zamężnym na prowadzenie burdeli, pyta przy egzaminie studentkę:

— Czy pani mogłaby w starożytnym Rzymie otworzyć dom publiczny?

— Ja nie — odpowiada rezolutna młoda osoba — ale żona pana profesora — tak!

Skoro jesteśmy już przy tych tematach — oto historyjka na wpół wędrowna o profesorze, który w przedwojennych, dość pruderyjnych w porównaniu z dzisiejszymi czasami, łagodniej egzaminował dziewczęta odsłaniające nogi nieco wyżej niż na to obyczaj pozwalał. Jedną z nich, źle poinformowaną zastosowała tę taktykę, nie wobec owego — powiedzmy — profesora Iksińskiego, ale wobec Stanisława Kutrzeby. Ten, zirytowany, miał się zachnąć:

Tam Iksiński, tu Kutrzeba,
Mnie nie trzeba, jemu trzeba.

Autentyczna jest historyjka o wizycie, jaką Kazimierz Morawski złożył Janowi Baudouin de Courtenay, gdy ten jeszcze wykładał w Petersburgu. Gość czekać musiał w gabinecie ponad pół godziny, zanim zjawił się Baudouin, oświadczając: „Przepraszam pana, ale musiałem się trochę ubrać”. Miał na sobie tylko kalezony.

Znana jest anegdota czy raczej legenda krakowska o tym, jak Stanisław Smolka, Wincenty Zakrzewski i właśnie Kazimierz Morawski odbyli tzw. duże rygorem (część egzaminu doktorskiego) z Karolem Potkańskim, wywabivszy go na przechadzkę po Plantach. Potkański bowiem był człowiekiem tak znerwicowa-

DOKOŃCZENIE NA STR. 4

nym, że na normalny egzamin z własnej woli zapewne nigdy by się nie zjawił. Jak było naprawdę, nie wiadomo; legenda budzi pewne wątpliwości, bo egzamin odbył się 20 lutego 1900². A zimy były wtedy surowe.

Autentyczna jest zapewne następująca anegdota związana z Kazimierzem Nitschem. Na tablicy ogłoszeń przy ulicy Gołępiej wywiesił on ogłoszenie: „Studentci, co zalegają z kolokwium, zgłoszą się dnia takiego a takiego”. Ktoś ze studentów podkreślił zaimbek „co”, wytykając w ten sposób Nitschowi rzekomy błąd gramatyczny. Na co profesor przypiął kartkę z cytatem: „Panno Święta, co Jasnej bronisz Częstochowy...”. Na następny dzień pojawiła się trzecia kartka z dwuwierszem:

Co wolno Mickiewiczu,
to nie tobie Nitschu.

O profesorze filozofii Witoldzie Rubczyńskim, znanym z roztargnienia, opowiadano znowu, że wyszedł raz na spacer po Plantach w jednym trzewiku żółtym, drugim — czarnym. Gdy mu ktoś na to zwrócił uwagę — wykrzyknął: „Co za pech! W domu mam drugą taką samą parę!”

W latach powojennych wykładach na UJ Juliusz Kleiner, więc zaanektujmy dla Krakowa anegdotę z czasów jego lwowskiej młodości; po powrocie z Wiednia chwalił się, że jest tam szeroko znany: „Kiedy wieczorem wychodziłem na spacer, spod każdej latarni słyszałem: *Komm mit mir Klainer!*”. Anegdota jest oczywiście całkowicie zmyślona, ale zmyślona dobrze: jest w niej i naiwność życiowa Kleinera, i pewna jego słabość do pochwał.

Kilka innych anegdot o historykach literatury. Ignacemu Chrzanowskiemu na starość nieobce były nastroje antysemityczne, mimo to do ulubionych jego uczniów należał Wiktor Weintraub. Chrzanowski chciał wyjednać dla niego zagraniczne stypendium z Funduszu Kultury Narodowej, ale dysponentem był Stanisław Michalski, wprawdzie przyjaciel Chrzanowskiego, znany jednak ze swych antyżydowskich fobii. Cóż było robić? Chrzanowski w czasie odwiedzin u Michalskiego w Warszawie, załatwiając różne sprawy, wdaje się z nim celowo w rozmowę o kwestii żydowskiej i gorliwiej niż kiedykolwiek mu przytakuje. Michalski jest wniebowzięty — i wtedy, już się żegnając, Chrzanowski podsuwa mu jeszcze jeden paperek, Michalski, nawet nie czytając, podpisuje — było to właśnie podanie Weintrauba. „Tak załatwiłem mu stypendium” — opowiadał potem rozbawiony Chrzanowski Wacławowi Kubackiemu, który z kolei mnie tę historyjkę opowiedział.

Stanisław Pigoń znany był i jako badacz, i jako egzaminator z zainteresowań drobnymi realiami utworów literackich, przy czym skłonny był pedantycznie konfrontować świat poetycki z życiową prawdą i prawdopodobieństwem. Kiedyś, przy egzaminie magisterskim — pisał o tym także Kubacki w swym *Dzienniku* — Pigoń zapytał, na co umarła bohaterka poematu *W Szwajcarii* Słowackiego. W tekście utworu nie ma o tym ani słowa — kandydatka nie umiała więc odpowiedzieć, nie wiedział także o co chodziło Pigońowi Kubacki, który był drugim egzaminatorem — i po egzaminie do swej niewiedzy się przyznał. Pigoń nie miał wątpliwości: — Jak to nie wiadomo, panie kolego? Przecież ona się zaziębiła w lodowatej grocie!³

A skoro o Kubackim mowa: w sądach o kolegach i uczniach był skrajny, zazwyczaj bardzo krytyczny, ale i zmienny. Kiedy w roku 1954 uzyskałem stopień kandydata nauk filologicznych, Kubacki, który wówczas jako kierownik Katedry Historii Literatury Polskiej UJ był moim szefem, umyślił sobie (z powodów, których tylko mogę się domniemywać), by wystąpić dla mnie od razu z wnioskiem o awans na profesora nadzwyczajnego, z przeskoczeniem szczebla docentury. Wniosek w tej sprawie miał być referowany i w Instytucie Badań Literackich PAN, i na Radzie Wydziału Filologicznego UJ, bo pracowałem wtedy w obu tych instytucjach. Po radzie naukowej IBL pytam kolegę, Samuela Sandlera, jak to się odbyło. „Wniosek przeszedł — usłyszałem w odpowiedzi — ale z uzasadnienia Kubackiego wynikałoby, że profesurę można ci dać, jednak magisterium to właściwie należało by ci odebrać”.



Ujmującym rysem autentycznych anegdot profesorskich jest autoironia, która w nich się niekiedy przejawia. Opowiada Bielak, że gdy Stanisławowi Strońskiemu, profesorowi romanistyki i politykowi zarazem, urodził się drugi syn, prof. Wilhelm Creizenach, gratulując mu zauważył: „Teraz może pan swoje zainteresowania podzielić między obu chłopców”. — „Ten głupszy będzie romanistą” — miał odpowiedzieć Stroński⁴.

A oto inna historyjka: kiedyś Jan Stanisław Bystron jechał pociągiem do Warszawy z młodym wówczas polonistą, Józefem Korpałą. W rozmowie Bystron bardzo chwalił Nitscha; zdziwionemu Korpale jakoś wyrwało się: „Pan profesor go chwali, a on pana profesora uważa za gówniarza”. Bystron odpowiedział pogodnie: „A wie pan, może on ma rację...”

Anegdoty tu opowiedziane dotyczą bez wyjątku przedstawicieli nauk humanistycznych. Niestety, jedną tylko anegdotkę znam o krakowskim profesorze medycyny. Nie jest to zresztą anegdota, lecz wierszyk — trochę trywialny i mało dowcipny jak na nasz gust, ale trzeba pamiętać, że przed wiekiem tzw. brzydkie wyrazy miały większą niż dzisiaj siłę — by tak rzec — komikogenną. Otóż w czasie epidemii cholery zwrócił się do Józefa Dietla znajomy z zapytaniem o najlepsze środki przeciw tej chorobie. Dietl, znany z rubasznosci, miał tak odpowiedzieć:

*Scheisst du dick, so hast du Glück,
Scheisst du dünn, so bist du hin!
Gegen die Cholera gibt's keine Mittel —
Leck mich den Arsch!* Profesor Dietel.

Po polsku brzmiałoby to mniej więcej tak:

Gdy załatwiasz się na twardo — nie myśl o chorobie,
A jeśli zaś na rzadko — wiedz, że już po tobie.
Nie ma bowiem leku przeciwko cholercze,
Całuj mnie więc w dupę — powiadam ci szczerze. Profesor Dietel⁵

Można wątpić, czy jest to autentyczny wierszyk Dietla. Natomiast prawdziwa jest anegdota o profesorze Władysławie Szaferze: gdy natknął się w jakimś zakątku Ogrodu Botanicznego na parkę zajęętą miłosnymi igraszkami, cichutko się wycofał, powiedział tylko strażnikowi: „Proszę ich wyrzucić, ale niech pan poczeka, aż skończą...”⁶

Z czasów międzywojennych pochodzi kilka żartobliwych druków ułożonych w kręgu Kazimierza Piekarskiego *Colloquium Thassicii, Marginalia* ku uczczeniu tegoż Piekarskiego w dniu jego promocji doktorskiej i wreszcie parodystyczny numer „Przewodnika Bibliograficznego” — wielokrotnie już opisywane, więc tu o nich tylko wzmiankujemy. Gdyby jednak poszukać w ówczesnej prasie codziennej i w wydawnictwach satyrycznych, znaleźć można by znacznie więcej żartów i drwinek z krakowskich profesorów. Piękne zadanie dla młodych badaczy dziejów nauki polskiej! Może znajdą np. wierszyk, zapamiętany przeze mnie z dzieciństwa, a drukowany w „Ilustrowanym Kurjerze Codziennym” około roku 1929 o młodym Taszyckim, „Wiciu Taszyckim” (tak napisano) jako o lwie krakowskich salonów. A oto kuplet z rewii satyrycznej *Ku-Klux-Klan* pióra Tommy'ego (Ludwika Tomanka) z roku 1922:

Jeden na wszechnicy profesor
Mądrości wszelkiej pełen był,
Miał talent, styl, natchnienie, *essor*,
Toteż w podziwie tłumy żył.
Ale nie tworzy już rok cały.
Dlaczego? Tego nikt nie zgadł,
A powód przecież to nie mały:
Opryszek mu leksykon skradł.

Z okresu powojennego przypomnijmy wspaniałą pastisz *Króla-Ducha*, który wyszedł spod pióra Artura Maryi Swinarskiego. W zakończeniu duch Słowackiego opowiada jak to staje przed nim jakiś kupiec z Krakowa, wręcza mu list i księgę. W liście są słowa:

„Wieszczu! — czytałem — długo Króla-
-Dawida
Tron pusty czekał na zjawy i cuda.
Szalała drobnych duchów zawierucha
Wokoło tronu Twego — nuż się uda!
I pustych słów dudniła gęźba głucha,
I nawet „strach był w powietrzu
i nuda”,
Były popioły i mrok, lecz niestety
Za mało było mgły i galarety.

Aż Ja zebrałem mgły, zebrałem pyły
Zalegające trupów tomy tegie;
I tyle słów, że wszelką treść zamgliły,
I długich cytat wmięszalem potęgę,
By myśli moje w błyskocie ukryły.
I siadłem! Siedzę i posyłam Księgę,
Co wyszła tanim kosztem Czytelnika.
Ty jeden ją zrozumiesz!
Kazik Wyka

Kazimierz Wyka wydał wtedy, w roku 1953, książkę *Matejko i Słowacki*.

Moje pokolenie zaśmiewało się też z mówionych parodii wykładów naszych krakowskich profesorów, jakimi popisywa-

wali się nieżyjący już Andrzej Koronczewski i Andrzej Lam. Niestety, nikt tych parodii nie zanotował; zapamiętałem tylko „łuk metafizyczny od krowy do Pana Boga” z parodii wykładu Wyki o Kasprowiczu. Zabawny był także parodystyczny spis tytułów prac młodych polonistów krakowskich wywieszony na początku lat pięćdziesiątych w Gołębniku; potrafię jednak z niego zacytować tylko dwie pozycje: Andrzeja Wasilewskiego *Jak nawozić grunt pod Wykę* i tytuł mnie przypisany: *Wiem, bom to czytał w uczonym Lukácsu*.

Tradycje te godnie są kontynuowane: przeczytałem niedawno poemacik dramatyczny *Pięty wieszca czyli Rękopis znaleziony w Gołębniku* — dzieło naszej młodej koleżanki, Doroty Korwin-Piotrowskiej. Oto portrecik, łatwy do rozpoznania:

Miast wachlarza

chłodzi się własnym swym konceptem,
spojrzenia swego ostrze wraza
dokładnie w punkt pod siódmym żebrzem.
La belle Thérèse — mawiają o niej,
La femme fatale — to ja dopowiem.

Obowiązek kronikarski nie pozwala mi pominąć faktu, że w innym zbiorze Korwin-Piotrowskiej *Literaturoznawstwo i jego sąsiedztwa dawne i nowe* znalazł się utwór pt. *Pan Markiewicz* (w którym polowanie Wojskiego na muchy przerobione zostało na polowanie na książki), ale ze zbioru tego zacytuje tekst inny — z parodii *O tym, jak opowiedziałby scenę spotkania Skrzetuskiego i Heleny Ingarden, literaturoznawca — psychoanalityk oraz dekonstrukcjonista*. Oto opowieść Ingardena:

Przy kolascie stały dwa czterowarstwowe schematy wyglądowne płci żeńskiej, jak zwykle niesprecyzowane i mało jednostkowe. Jeden, cokolwiek podstarzały, o twarzy surowej, męskiej — niewart konkretyzacji, drugi aliści z wieloma miejscami godnymi dookreślenia. Co widząc, namiestnik osadził schemat wyglądowny konia i zmieszał się bardzo, bo nie wiedział, czy ma przed sobą „Juno we własnej osobie”, czy inny jakowyś przedmiot wtórnie czysto intencjonalny.

Zatoczywszy w ten sposób łuk od Jana Kochanowskiego do Doroty Korwin-Piotrowskiej — cóż na zakończenie powiedzieć? Chyba szkic ten nie podważył autorytetu krakowskich uczonych. Nie tylko dlatego, że „prawdziwa cnota krytyk się nie boi”, ale i dlatego, że ośmieszać można najlepiej tylko to, co ze swej prawdziwej istoty jest poważne. Chociaż — podpowiada mi diabeł złośliwości — także to, co ma tylko pozory powagi.

Henryk Markiewicz

Gawęda przygotowana do nowego, rozszerzonego wydania „Zabaw literackich” (Oficyna Literacka, w druku).

¹ Utwory te ogłoszone zostały w tomie: K. Estreicher, *Okruchy wierszowane*. Wyd. S. Estreicher. Kraków 1928.

² Zob. H. Barycz, *Na przelomie dwóch stuleci. Z dziejów polskiej humanistyki w dobie Młodej Polski*. Kraków-Wrocław 1977, s. 145.

³ W. Kubacki, *Dziennik (1966-1968)*. Warszawa 1990, s. 66.

⁴ Zob. F. Bielak, *Z odległości lat. Wspomnienia i sylwetki*. Kraków 1979, s. 255.

⁵ Przekład według: *Polska fraszka i satyra medyczna*. Oprac. Kazimierz Borzęcki i Zbigniew Woźniewski. Warszawa 1961, s. 283.

⁶ Zob. A. Leńkowska, *Profesor Władysław Szafer. Anegdoty, fakty, wspomnienia*. Kraków 1992.

„...JEŚLI SPOJRZEĆ ZA SIEBIE WSTECZ”

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

bieństwo, surrealistycznej autosugestii. Jej bohater jeszcze raz, całkowicie realnie i dosłownie, przeżywa niewyjaśniony, konspiracyjny epizod z lat okupacji. W trakcie prowadzonego na samym sobie śledztwa dochodzi do przekonania, że albo od tamtego czasu po prostu nie żyje, albo jest zdrajcą, który poświęcił życie swoich współtowarzyszy.

Równolegle Odojewski koncentruje się na cyklu podolskim. Przerabia i, gdy jest to wreszcie możliwe, wydaje *Wyspę ocalenia*, a pomiędzy 1964 i 1967 rokiem pisze trzecią rzecz o Pawle, Piotrze i Katarzynie (dotychczasowych bohaterach *Wyspy ocalenia* i *Zmierzchu świata*), swoje opus magnum, powieść *Zasy pie wszystko, zawieje...* — już jednoznacznie politycznie, zrównując okupację sowiecką z niemiecką, z rozdziałem poświęconym podróży jednego z bohaterów, Pawła Woynowicza, do Katynia po zwłoki zamordowanego tam brata. Jest to nowa, wstrząsająca i silna wizja tamtego czasu.

Odtąd z losami tej książki połączy się perypetie życiowe jej twórcy. Powieść nie może ukazać się oficjalnie bez ingerencji cenzury, na którą autor nie chce przystać. W wyniku wydarzeń marcowych zostaje wyrzucony z pracy w polskim radiu. Po trzech latach kwarantanny, w 1971 roku, kiedy otrzymuje wreszcie paszport, wyjeżdża do Francji. Następnie, wykorzystując przyznane kilka lat wcześniej stypendium Academie der Kunste z Berlina Zachodniego, przedłuża swój pobyt poza krajem.

Obserwowany przez służby specjalne zabiera rodzinę do Monachium i podejmuje pracę w Wolnej Europie. Zostaje kierownikiem literackim sekcji polskiej tej rozgłośni. Na emigracji oprócz *Zasy pie wszystko, zawieje...* wychodzą jeszcze tylko dwa zbiory opowiadań: *Zabezpieczanie śladów* (Paryż 1984) oraz *Zapomniane, nieuśmierzone...* (Berlin Zach. 1987). Wznowienia tych książek, w ciągu ostatnich trzech lat, pojawiły się również w kraju. Zupełnie niedawno, nakładem krakowskiego „Znaku” ukazał się natomiast kolejny tom opowiadań — *Jedźmy, wracajmy...* Wydaje się, że utwory wchodzące do tego zbioru, aczkolwiek pisane w przeciągu ponad dwudziestu ostatnich lat, skomponowane są w całość, która dopełnia tworzoną przez Odojewskiego właściwie już od pierwszej książki opowieść o polskim losie. Noszący różne imiona, ale w rodzaju egzystencjalnego i narodowego doświadczenia bardzo do siebie zbliżeni, bohaterowie tej prozy nie potrafią do końca uwolnić się od przeszłości — tej wojennej i tej powojennej; tej związanej z idyllą dorastania i kosmarem polsko-ukraińskiej wojny domowej na wschodzie i tej, którą określają moralne wybory lat stalinowskich. Jednak wszystko, co przeżyli najbardziej intensywnie, wszystko co zaważyło zasadniczo na ich życiu, a co zawsze łączy się jakoś z wyrokiem Historii, jest w tych najnowszych opowiadaniach coraz bardziej dalekie i nierealne, boleśnie powracające, lecz coraz trudniejsze do zrozumienia w świecie, w którym obecnie żyją. Los Polaka-emigranta staje się tutaj wariantem bardziej ogólnie pojmowanej samotności, wyobcowania i lęku, który uczynić znośnym, według Odojewskiego, może tylko miłość.

FAULKNER I ROMANTYZM

Z daniem Marii Janion owiana legendą powieść *Zasy pie wszystko, zawieje...* posiada wszelkie walory arcydzieła, które na trwałe wejdzie do historii literatury polskiej, samego zaś Odojewskiego „... należałoby nazwać jednym z najbardziej osamotnionych i najbardziej niezrozumianych powieściopisarzy naszego czasu”³. I rzeczywiście, przypadek autora *Czasu odwróconego* wydaje się czymś szczególnym. Z czego zatem wynika ta wyjątkowość?

Fenomen Odojewskiego polega być może na zdolności przeniesienia i wpisa-



fol. E. Avez

nia formalnych zdobyczy awangardy, całej nowoczesnej techniki powieściowej i wiążącego się z nią, a także przez nią wyrażanego, egzystencjalnego światopoglądu, w realia odwiecznie obecne w naszej literaturze, w przestrzeń południowo-wschodnich obszarów jeszcze przedwojennej Rzeczypospolitej. Tworząc cykl podolski pisarz nie zmienił charakterystycznego dla siebie rozumienia świata. Znalazł natomiast realne, bo historycznie prawdziwe i zarazem nierealne, ostatecznie pograżone w czasie przeszłym, a więc żyjące już tylko w pamięci, bliskie, lecz jak mit nierzeczywiste, źródło udręki i rozpacz. Literackie i historyczne Podole to przecież w polskiej tradycji od zawsze miejsce największych napięć i tragedii, to bunt hajdamaków i powstanie Chmielnickiego, to Malczewski, Słowacki i Sienkiewicz. I jakkolwiek geografia kresowa odsyła do bezpośrednio określonej tradycji romantycznej, trzeba w tym momencie jasno stwierdzić, że Odojewski korzysta z tej tradycji całkowicie po swojemu.

Tworzy własny świat — bratobójczej i fatalnej wojny wszystkich ze wszystkimi. Pisze kronikę zbrodni, namiętności i zemsty. Doświadczenia literackie poprzedników interesują go natomiast o tyle, o ile mogą pomóc w zrealizowaniu założonego tematu, o ile ułatwiają zrozumienie fatalizmu Historii, który nawiedza te ziemie z zadziwiającą regularnością.

Odojewski na swój użytek adaptuje źródła często bardzo od siebie odległe.

Opisując konsekwencje, rzec by można, biblijnego pomieszania języków, sam dokonuje ich ponownego zbliżenia. W ten sposób poprzez sztukę ocala zamordowany już świat, rekonstruuje jego zagładę. Ponieważ pisze trzymającą w napięciu powieść akcji, zapożycza się dramaturgicznie u Sienkiewicza, ponieważ nadaje swojej apokalipsie sankcje nadnaturalnego porządku, czerpie zarówno z wizyjno-mistycznej wyobraźni Słowackiego jak i z tradycji biblijnej pojmowanej w sposób fatalistyczno-etyczny, charakterystyczny m.in. dla Faulknera. Los jednostki i zbiorowości opisuje w kategoriach grzechu i jego następstw, w wymiarze spełniającego się przeznaczenia, które niszczy idyllę rodzinnej harmonii. Dążąc do realizmu nasyca swój świat mnogością kresowych detali, nie czyni jednak z tego dążenia zasady panującej. Wszystkiego kosztując po trochu świadomie mitologizuje. Z fabuły mocno tkwiącej w realiach historycznych wydobywa, charakterystyczny dla przypowieści, uniwersalizm nowoczesnego, egzystencjalnego moralitetu. W ten sposób osiąga własną, niepowtarzalną jakość — zbliża się do tego rodzaju realizmu, który nazywany bywa magicznym.

W latach sześćdziesiątych, w jednym z wywiadów udzielonych „Współczesności”, na pytanie dotyczące swoich literackich korzeni i wpływu Faulknera na jego pisarstwo, Odojewski odpowiedział: ... *świat faulknerowskich bohaterów wydał mi się bardzo podobny do mojego własnego świata, owego świata polskich kresów... Ujrzałem ten sam schyłek epoki, podobnie rozsypującą się jedną obyczajowość, kiedy nowa ledwo zaczęła się kształtować, te same problemy związane z odchodzeniem, ze zmierzchem starych klas... te same obłędne namiętności, które wyzwalały w ludziach moment przelomu i to samo okrucieństwo, które powoduje atawistyczna nienawiść, jednym słowem: ujrzałem podobne umieranie czasu.*⁴

Zwróćmy uwagę na dwie sprawy. Podolska epopeja Odojewskiego, podobnie zresztą jak wszystko co do tej pory napisał, nie jest opowieścią do końca zmyśloną. Pisarz, urodzony w 1930 roku w szlachecko-arystokratycznej i polskoruskiej kresowej rodzinie, osobiście jako dorastający chłopak najprawdopodobniej przeżył (tutaj zastanawiające wydaje się jego milczenie) zagładę tamtego świata. *Zasy pie wszystko, zawieje...* choć należy do fikcji literackiej, nie jest wymyśloną naśladowaniem z czegokolwiek, ale, zaryzykujemy, jest świadectwem utraty czegoś, co kochało się najmocniej i najbardziej osobiście. Podobieństwo do Faulknera wynika więc najpierw z podobieństwa doświadczeń i problemów obu pisarzy, a dopiero ze względu na tę analogię, z fascynacji tym wielkim, amerykańskim prozaikiem.

I rzecz druga, wynikająca z tej pierwszej. Powinowactwo z Faulknerem nie daje się sprowadzić do fabularnej osnowy historii stworzonych przez autora *Zabezpieczania śladów*. Południe Odojewskiego jest jego własnym, niepowtarzalnie zobaczonym światem⁵. Jeżeli można mówić o związku tych pisarzy, to przejawia się on w zbliżonym przełożeniu myślenia o czasie i przeznaczeniu na sposób opowiadania — na język i kompozycję tekstu.

NARRACJA I ŚMIERĆ

Odojewski konstruuje rzeczywistość pozbawioną czasu przyszłego. Jego zdanie jest jednocześnie funkcją pamięci i segmentem przeżycia. Niezależnie od tego, czy dotyczy realnej przeszłości, czy teraźniejszości, czy nawet przyszłości,

staje się niezmiennie w wewnętrznym czasie teraźniejszym, skierowanym jednak intencjonalnie na to, co minione lub mijające. Takie ustawienie narracji decyduje o płynności i dwuznaczności opowiadania. Obrazy ujmowane w ramy długiego, wielokrotnie złożonego współrzędnie zdania, napływają w prozie Odojewskiego falami; na zasadzie drażenia w pamięci, które jest również pokonywaniem przekraczającej zrozumienie teraźniejszości⁶. W gorączce lata, która dominuje nad cyklem podolskim, wszystko jest możliwe, a więc i równoprawne. Nic nie jest już nieprawdopodobne.

Dzieje się tak, że doznanie zlewa się z istnieniem, a bohaterowie-narratorzy tych fabuł sami już do końca nie wiedzą, co zdarzyło się naprawdę, a co jest tylko kwestią ich zmęczenia i obsesyjnej wyobraźni. Nieustanna praca narracyjnej świadomości usiłuje scalać rozpadający się porządek, nabiera charakteru egzystencjalnego śledztwa. Odnieść można wrażenie, że umierając na naszych oczach świat Odojewskiego trwa po to, żeby rozwickłać przyczyny własnej śmierci. Rodziny Czerestwieńskich i Woynowiczów usiłują jeszcze żyć tak, jak przed wojną. Z chwilą, gdy przewagę zdobywają namiętność i zbrodnia, członkowie tych rodzin z góry skazani na klęskę, każdy inaczej — ale w zasadzie podobnie — podejmują swój los. Matka Pawła Woynowicza, wbrew jakiegokolwiek samozachowawczej logice, wraca do zagrożonego rodzinnego majątku, by zginąć z rąk ukraińskiego nacjonalisty. Jej syn zasila szeregi brygady Armii Krajowej. Zostawia najbliższych, by bronić polskości ziemi, na której się urodził i wychował. Zarówno Paweł jak i Piotr Czerestwieński rezygnują ze szczęścia uosobionego przez Katarzynę w imię ratowania świata, w którym dotąd żyli, a którego ocalić już nie są w stanie.

Piotr, Paweł i Katarzyna — poszukując siebie nawzajem i odnajdując w sobie podstawowe odruchy miłości i nienawiści, konkretyzują w ten sposób własną, okaleczoną tożsamość. Równocześnie tęsknią za spokojem i harmonią, której symbolami i wyspami stają się domy rodzinne: Gleby Woynowiczów i Czuprynia Czerestwieńskich.

KOMPLEKS OBCOŚCI

Nieustanne retrospekcje, wyświetlane na ekranie pamięci minionego i właśnie mijającego czasu, służy tylko jednemu celowi — uchwyceniu i odzyskaniu umierającej wraz z czasem prawdy. Prawdy o najważniejszym dla tożsamości i losu tej zbiorowości, rozgraniczeniu na „swoich” i „obcych” a także o, związanym z tym podziałem, rozróżnieniu na „lepszyc” i „gorszych”.

Dominujący w całym dziele Odojewskiego kompleks obcości w wypadku cyklu podolskiego realizuje się co najmniej na kilka sposobów. Przede wszystkim jako kłątwa krwi i pochodzenia. Bohaterowie Odojewskiego są ludźmi o nieokreślonej tak naprawdę tożsamości. Są emigrantami, to znaczy przybyszami z zewnątrz, jak Czerestwieńscy lub sztucznie oddzieleni od miejscowej społeczności, obrońcami i przedstawicielami obcej, polskiej kultury, jak Woynowicze.

Ojciec Piotra Czerestwieńskiego popełnia samobójstwo, jego brat — stryj Teodor — jest zaś przez całe życie niepoprawnym fantazją, kosmopolitą i podróżnikiem, badaczem umarłych cywilizacji i poszukiwaczem zaginionych skarbów. Sam Piotr Czerestwieński (alter ego auto-

DOKOŃCZENIE NA STR. 6

ra?) nie czuje się ani Polakiem ani Rosjaninem. Wchodząc w wir wydarzeń dopiero szuka identyfikacji. Wychowana przez Czerestwieńskich jak córka — Katarzyna jest w istocie nieślubnym dzieckiem bez prawdziwego nazwiska i majątku. Odrzucony przez tychże Czerestwieńskich Gawryluk, okazuje się przyrodnim bratem Piotra — owocem podwójnego grzechu, szlacheckim bękartem narodzonym z chłopki Ukrainki. W przypadku Woynowiczów sprawa wydaje się prostsza — identyfikują się z polskością. Ale oni również są rdzennymi mieszkańcami tej ziemi i tak naprawdę sami ulegli kiedyś polonizacji. Czy mają zatem prawo do rozsądzania, co dobre, a co złe?

Są to problemy złożone i delikatne. Różnice dzielące ludzi nie kończą się bowiem na odmienności języka, wyznania i stanu. Wynikając z nich, przenoszą się na sferę psychiki; determinują zarówno życie uczuciowe jak i postępowanie.

W CZASIE NIEUŚMIERZONYM

Owładnięty bękarcim kompleksem, Gawryluk staje się skrzyżowaniem Gonty i sienkiewiczowskiego Bohuna. Pragnąc upokorzenia Czerestwieńskich, usiłuje zdobyć należące do nich kobiety. Paradoksalnie, występując przeciw rodzinie, robi w ten sposób wszystko, aby do niej powrócić. Chce potwierdzić swoją przynależność i równorzędność. W rezultacie, niszcząc rodzinę, równocześnie przyczynia się do jej konsolidacji — ułatwia identyfikację pozostałym jej członkom. Zarówno tym bliższym jak i dalszym. Pojęcie rodziny Odojewski rozszerza bowiem na całą, zaludniającą ten obszar, społeczność. Wojna domowa okazuje się zatem, jak w Starym Testamencie, wynikiem upadku i grzechu, efektem utraty pierwotnej niewinności, konsekwencją poznania i akceptacji zła. Samo Podole powtarza natomiast mit ziemi przeklętej, mit przestrzeni, dla której miszkańców nie ma ocalenia.

Można powiedzieć, że nad światem Odojewskiego unosi się duch niespełnienia i rozpacz, ale także imperatyw heroizmu i trwania wbrew wszelkim przeciwnościom. Stąd nieustanne powroty, praca pamięci i drażnienia prawdy.

Nie dotyczy to jedynie książek tworzących cykl podolski. We wszystkich utworach pisarza traumatycznie powracają te same motywy i ta sama, związana z nimi, stylistyka. Biografie jego bohaterów, także tych z najnowszych opowiadań, rozwijają się według podobnego wzoru. W ten sposób okazują się świadectwem losu polskiego w ogóle.

Na początku jest zawsze mit dzieciństwa spędzanego przez dorastającego chłopca gdzieś na południowo-wschodnich rubieżach przedwojennej Polski, w ziemiańskim dworze (*Wyspa ocalenia*, *Zmierzch świata*) lub prowincjonalnym miasteczku (*Jedźmy, wracajmy...*); rodzinne ciepło, beztraska, pierwsze miłosne przygody, opieka podziwianego dziadka lub stryja. Potem przychodzi kataklizm wojny — w przenośni i dosłownie — bratobójczej. Samą istotą przeżywanego wówczas doświadczenia staje się utrata najbliższych, niemożność wyboru pomiędzy dobrem i złem, zagłada. Ale na tym nie koniec. Dla ludzi, którzy ocalili i — jak w znanym wierszu Różewicza — nigdy nie będą już tacy jak przedtem, apokalipsa w pewien sposób trwa nadal. Zmienia jedynie swoją postać. Jest stanem ciągłej udręki powodowanej przez pamięć i wszystkie kolejne życiowe wybory. A pamięć to świadomość rodzinnej i oso-

bistej tożsamości, którą niszczą czas i Historia. Ale zło dotyka bohaterów tej prozy również zupełnie zewnętrznie: dla związanych z AK uciekinierów ze wschodu wojna nie kończy się w 1945 roku, przedłuża się na deportacje w głąb ZSRR, aresztowania, więzienia, emigrację. Od utraty szlacheckiej lub po prostu przedwojennej arkadii nigdy już nie są u siebie. Odtąd w życiu biorą udział bardziej jako świadkowie niż uczestnicy, z niedowierzaniem, zarówno w czasie jak i przestrzeni, przemierzają swój szlak. W poszczególnych utworach pojawia się Starobielsk z sylwetką Józefa Czapskiego, który opowiada współwięziom o Prouście, Kazachstan, poznański czerwiec, stan wojenny. Prawdziwy problem pisarza to jednak nie same, skądinąd niezwykle i okrutne, wydarzenia historyczne, ale wpływ, jaki mają one na psychikę i osobowość jego postaci. Bohaterowie płacą własną krwią, zdrowiem, życiem, ale także — a może przede wszystkim — godnością, wewnętrznym spokojem, niewinnością. Faktyczny dramat tej prozy rozgrywa się — współcześnie.

Odojewski miesza przeszłość z teraźniejszością, buduje teatralne wręcz sekwencje obrazów, w których wszystko dzieje się naocznie i dosłownie, a równocześnie oglądane jest z dystansu, za pośrednictwem pamięci i ze względu na to właśnie, że nadal wydaje się żywe i ważne. Coraz częściej okazuje się jednak ważne i żywe jedynie dla ocalonego z przeszłości bohatera. Ludzie ukształtowani w innej perspektywie — pokoleniowej, geograficznej — jego rozterki mogą tylko traktować z obojętnym zainteresowaniem lub, jeśli wiąże ich z nim coś więcej, z bezsilnym współczuciem.

SZANSE OCALENIA

Może się wydawać, że autor *Zabezpieczania śladów* neguje możliwość porzucenia balastu wspomnień i wyzwolenia się spod przemożnego ciśnienia przeszłości. Kolejna, powstająca od lat, część cyklu podolskiego nosić ma tytuł *Odejsć, zapomnieć, żyć...* Bo w nowe życie trzeba wejść — jak powie bohaterka jednego z ostatnich opowiadań autora — (...) *czy tego się chce, czy nie chce*⁷. Od przeszłości nie można uciec, tak jak nie da się uciec od samego siebie. Ale można ją przezwyciężyć. Proces przypominania nabiera wtedy mocy oczyszczenia. I w tym momencie z bólu i lęku rodzi się żal. *Ogromny, niewymierny, nieutulony, jeśli spojrzeć za siebie wstecz*⁸.

Nadzieja sprowadza się zatem do identyfikacji ze „swoimi”, z tymi, których się kocha i z którymi się cierpi, do szukania porozumienia, utracenie jedności ze światem i samym sobą. W wymiarze narracji polega to na upodmiotowieniu opowiadania. Na poszukiwaniu prawdy o Historii poprzez prawdę o poszczególnym człowieku. W odniesieniu do samego pisarza sprowadza się natomiast do aktu tworzenia, czyli nadawania sensu.

Paweł Kempny

¹ Zob. T. Burek, *W. Odojewski, Nowy poczet pisarzy*, „Współczesność” 1964, nr 6.

² M. Janion, *Cień i róża Ukrainy*, *Wobec zła*. Chotomów 1989, s. 177.

³ M. Janion, *opus cit.*, s. 173.

⁴ W. Odojewski, *Faulkner*, „Współczesność” 1962, s. nr 15.

⁵ Zob. Zb. Bienkowski, *Ten raj jest piekłem*, *Modeunki*, Warszawa 1965.

⁶ Por. E. Wiegandt, *Austria Felix (...)*. Poznań 1988, rozdział o Odojewskim.

⁷ W. Odojewski, *Jedźmy, wracajmy (...)*. Kraków 1993, s. 57.

⁸ *Opus cit.*, s. 57.



foto. Bettina Keller

O Marianne Gruber

Marianne Gruber ukończyła humanistyczne gimnazjum, ma prawie skończoną medycynę, przez dłuższy czas studiowała psychologię u samego Viktora Frankla, ale najbardziej — jak się wydaje — kładzie nacisk na swe wykształcenie muzyczne, studia fortepianowe w Konserwatorium miasta Wiednia. Starannie i wszechstronnie zatem wykształcona, właścicielka wielu nagród literackich, stwarza jednak, albo chyba właśnie dlatego, szczególną atmosferę prostoty i ciepła.

Urodziła się w 1944 roku w Wiedniu, wychowała w Burgenlandzie, najbardziej wysuniętym na wschód, najbardziej płaskim i najmłodszym kraju związkowym Republiki Austrii. „Kraj lat dziecińczych” pojawia się niezmiennie w powieściach i opowiadaniach Marianne Gruber, w jej „subtelnej technice opowiadania świadomości, silnie zakotwiczonej w przestrzeniach krajobrazu”. Są to, jak powie, „opowiadania, opowiadania science fiction, wesołe historyjki dla dzieci, powieści kryminalne, eseje”. Czy tylko? W pierwszym planie powieści *Windstille* (Wien 1991) toczy się np. historia kryminalna, chodzi o morderstwo, dokonane w środowisku wiejskim, gdzie wszyscy się znają. Stopniowo jednak cała historia „przeradza się w opowiadanie o powrocie do źródeł swej własnej istoty, o odnajdywaniu samego siebie. Chodzi w niej o zagęszczenie zasadniczych egzystencjalnych wzorców współżycia między ludźmi, o proces starzenia się, śmierć. Współgrające tło stanowi otaczająca natura, która przez rozkład szybko przemijającego lata ujawnia pustkę sensu bytu”.

Jak w sztukach Ödöna von Horvatha, jak w całej austriackiej literaturze, tak i tutaj zacierają się granice nie tylko między dobrem i złem, lecz również między marzeniem i rzeczywistością, powagą i żartem, między łzami i śmiechem. Prawda jest i jednocześnie prawdą nie jest, albo być nie musi. Sprzeczności, duchowa odcyzna i forma życia tutejszych twórców, pojawiają się w różnych postaciach egzystencji i wydają się pytać: Gdzie kończy się życie, a gdzie zaczyna się upiorność? Wbrew jednak temu wszystkiemu literatura nie traci nadziei, opowiada się za radością życia, za czerpiącą bezustannie z rzeczywistości zmysłowością. Nie znajdzie się w niej ascezy, moralizowania, ideologii.

Przychodzi tu na myśl zdanie z artykułu Emila Brixia o obrazach grafika Gerharda Geppa. W czerwcowej „Dekadzie” z ubiegłego roku austriacki konsul generalny w Krakowie pisał: „jeśli w ciemnej oficynie nie ma słońca, człowiek maluje sobie okno na murze — i oto zagłada słońce (...)” Chęć wyrwania się za

wszelką cenę z egzystencjalnej pustki do musilowskiej, innej, przeczuwanej rzeczywistości? Marianne Gruber nie byłaby zatem pisarką austriacką, gdyby nie pisała jednocześnie: „Usiądźcie sobie państwo, zaprojektujcie morze według własnego wyboru, niebo, jakie chcecie i słońce wszystko jedno jakie, tylko duże, tylko olśniewające, tak jakby nie było żadnej zimy” (opowiadanie *Aigeus*).

Marianne Gruber mieszka w Wiedniu. Pisze utwory prozą, utwory liryczne, eseje, od czasu do czasu prowadzi program dyskusyjny w „Club 2” w telewizji, pisze audycje dla radia. Oprócz utworów opublikowanych w ponad trzydziestu antologiach, esejów jak np. *Der Wille zum Sinn — ein Versuch über V. Frankl (Pragnienie sensu — Próba na temat V. Frankla)* opublikowała następujące utwory: powieść *Die glasärne Kugel*, Styria 1980, *Surkamp TB* 1984, *Ariadne Press* 1991, *Riverside*, (The Glassy Sphere), opowiadania *Protokolle der Angst*, NÖ Pressehaus (Wydawnictwo Dolnej Austrii) 1984, powieść *Zwischenstation*, Edition 1986, *Surkamp TB* 1988, opowiadania *Der Tod des Regenpfeifers*, Fischer 1991, powieść *Windstille* Edition 1991, książkę dla młodzieży *Esra's abenteuerliche Reise auf den blauen Planeten*, Jugend & Volk 1992.

Za swą twórczość otrzymała wiele nagród i wyróżnień, z których pierwszą była nagroda Ministerstwa Nauki, przyznana jej w 1981 r. za powieść *Die glasärne Kugel*, za tę samą powieść dostała w 1982 r. nagrodę literacką Dolnej Austrii (nagrodę wspierania literatury), w 1984 r. nagrodę George'a Orwella za opowiadanie science fiction *Das Zeichen des Siegers*, w 1986 nagrodę miasta St. Pölten w dziedzinie liryki, w 1986 nagrodę Otto-Stoessla za opowiadania *Der Tod des Regenpfeifers*, za prozę *Julius Spange* w 1988 r. otrzymała nagrodę Limesa w dziedzinie krótkich opowiadań, w latach 1989/90 Państwowe Stypendium Literackie, a w 1992 Nagrodę miasta Wiednia za książkę dla młodzieży. Trzeba tu jeszcze dodać Nagrodę Państwowego Sekretariatu do spraw Kobiet (1981) za opowiadanie dla młodzieży *Tränen sind wie Regen* w antologii *Mädchen dürfen pfeifen, Buben dürfen weinen* (Jugend & Volk 1981), autorzy tej antologii otrzymali Nagrodę miasta Wiednia za książkę dla młodzieży 1982, natomiast za prozę *Anweisung zum Überleben — ein Fragment (Texte zur Arbeitswelt*, Europaverlag 1984) dostała autorka nagrodę publiczności Izby Robotniczej (Arbeiterkammer). Drukowany poniżej esej Marianne Gruber nosi w oryginale tytuł *Nie ma zwycięstwa dla Achillesa — nasz problem z czasem*.

Anna Milanowska

Stop mówi żółw do przyrodników

O „powolności”: czas ucieka,
tak a więc korzystamy z niego.
— To pomyłka?

Kiedyś czas był kołem: Życie i śmierć jako nieustający układ krążenia, bez początku i końca, wolne jeszcze od presji postępu.

Kiedy koło pękło, zamieniło się w drgania sinusoidalne. Świadomość otrzymała wgląd w cykle, potem w interwały, stopniowo w strefy pogranicza, w początek i koniec, biologiczne rytmy etc. Pojawiła się obfitość czasów: czas życia, czas kultury, czas pracy, czas socjalny, czas wolny, pośpiech, czas przeżyty, dokładny, i przymus poznania wzajemnej konkurencji czasów. Śmierć, napierająca na świadomość w nowej formie przez wzrastające zrozumienie czasów, oczekiwała się odpowiednich kontrahentów: beczasowości i wieczności.

Niegdyś, chcąc uprościć wielość, nawarzyliśmy sobie piwa naszym wyobrażeniem o czasie linearnym, wzdłuż którego się poruszamy (co dzisiaj znaczy pędzić i spowodowało wynalezienie pojęcia postępu). Przeszłość jest tym, co znajduje się poza nami, oddzielone od przyszłości jedynie przesuwanym się stale punktem na osi czasu: punktem Teraz.

Odtąd znamy też jeszcze czas zmarnowany, stracony. I od tej pory woła żółw do Achillesa: Zaczekaj! Ten już jednak jest niestety poza zasięgiem głosu.

Wspólny problem współczesnego Achillesa i współczesnego żółwia polega na tym, że nie mają już żadnego wspólnego problemu. Ich wyścig się nie odbywa, ponieważ już się nie spotykają. Spotkanie zakłada konieczność postrzegania, a postrzeganie wymaga czasu, którego Achilles już nie ma. Jest on nie tylko szybki, jest superszybki, tak więc nie uświadamia sobie egzystencji żółwia, tak jak żółw nic nie wie o jego istnieniu. Żółw, który jest samą terażniejszością, nie jest w stanie spostrzec nie zatrzymującego się Achillesa. Achilles, który w skutek swego szaleństwa utracił już terażniejszość, nie widzi i nie słyszy żółwia.

Utrata czasu terażniejszego czyni z Achillesa tragiczną postać. Ten Roland szalony, ten półgłówek, który nie wie, dokąd gna, też nie znajdzie się tam szybciej, łąduje nigdzie.

Ponieważ stracił terażniejszość, nie ma również przyszłości. Przeszłość jest mu natomiast w najlepszym wypadku ciężarem. Żółw, przepelniony terażniejszością, ma wielką przeszłość, ale niestety również żadnej przyszłości, ponieważ zaczął się zadawać z tym półgłówkiem Achillem. Przecież oni obaj są, czy chcą czy nie, wykoncypowani jako duet. Tego czego nie ma jeden z nich, nie może mieć również drugi. To, że obaj w bardzo różny sposób i z odmiennych powodów nie mają przyszłości, jest bez znaczenia.

Z pojęciem terażniejszość mamy kłopoty. Poczynając od Arystotelesa, filozofia od czasu do czasu poucza nas, że czas terażniejszy właściwie nie jest czasem. Przedstawiciele nauk ścisłych potakują. Dla nich czas terażniejszy jest rzeczywiście mało ważny, względnie — nieuchwytny. W najlepszym wypadku znają oni terażniejszość i przyszłość, które na ruchomym złączu standardowym (interfejs) — czystym punkcie obliczeniowym — wzajemnie się przenikają. Przeszłością jest to, co, licząc od chwili obecnej, od np. wielkiego wybuchu znajduje się za nami, przyszłością jest to, co, poczynając od tegoż punktu obliczeniowego, sięga aż po zapaść uniwersum. Tak oto tkwimy z naszą terażniejszością na osi czasu i jesteśmy rzeczywiście tylko punktem rachunkowym.

Stop, mówi żółw do nauczyciela nauk ścisłych. Po pierwsze jestem, i nikt nie może powiedzieć, że to nic nie znaczy. Dla mnie znaczy to bardzo wiele. Po drugie nie jestem żadnym nierozciągliwym punktem, posiadam rozciągliwość. Także w mojej głowie dzieją się różne rzeczy. Mogę ci opowiedzieć, co było przed około stu laty, a jeśli jeszcze dodam do tego wszystko, co usłyszałem od moich rodziców, dziadków, pradziadków, mogę ci opowiedzieć, co było przed tysiącem lat. A moja wyobraźnia jeszcze mnie wyprzedza. Moja terażniejszość zmienia się wraz z nastrojem z dnia na dzień, wypełniona okruciami przeszłości, a nawet przyszłości. W tej kuli siedzę, podczas gdy jej punkt środkowy — Ja, Teraz — porusza się dalej wzdłuż wymyślonej linii czasu. Jest to prawdopodobnie spleciona linia, która biegnie za drogami jakiegoś labiryntu, ale to jest już całkiem inny problem.

Przedstawiciele nauk ścisłych interesują abstrakcje i struktury, żółw jest zainteresowany przede wszystkim egzystencją. Z ich punktu widzenia przeszłość i przyszłość istnieją — jeśli w ogóle istnieją — również bez obserwatora. Ale terażniejszość jako rozciągliwy punkt istnieje tylko dzięki obserwatorowi, który stanął wobec dylematu polegającego na tym, że nie może on jej opisać bez sięgnięcia do przeszłości i przyszłości.

Twoja terażniejszość, mówi obserwator do żółwia, ma jeden jedyny okrucich czasu: Teraz, punkt, wszystko inne jest zapożyczony.

Czy pojmujesz, odpowiada żółw, że tylko dlatego możemy rozmawiać,

ponieważ nie jesteś Achillem, co oznacza: ponieważ mamy wspólną terażniejszość, a więc wspólną przeszłość i przyszłość, jakkolwiek byśmy się różnili albo różnić będziemy.

Co robić, myśli żółw, ostatecznie został zaproszony do tego przekłętą współzawodnictwa, które bez Achillesa nie może się odbyć. Układa psychogram Achillesa i dokonuje analizy sytuacji.

1. Achilles 1991 jest chciwy wszystkiego. Pożera czas, ale go nie akumuluje, lecz unicestwia. Aby móc go lepiej pochłaniać, zbudował maszyny. Na nieszczęście maszyny także sprzężają czas i tym samym stawiają jego produkty poza granicami rozsądku. Achilles twierdzi wprawdzie, że mu oszczędzają czasu, jednak nigdy nie udaje mu się wyjść na swoje.

2. Achilles jest pełnym egoizmu egocentrykiem, który rabuje żółwiowi jego majątek: wiedzę empiryczną. Jej zdolność do postrzegania, do uważnego słuchania, do wsłuchiwania się, do obserwacji, do wgłębiania się, do altruizmu — za jego przyczyną idzie na marne.

3. Prawdopodobnie pałęta się on właśnie wśród nowoczesnych metod produkcji, podczas gdy żółw musiał wynieść się do trzeciego, czwartego i piątego świata.

Cóż zatem robić? Żółw wie przynajmniej jedno: Jeśli prawdą jest, że przestrzeń jest zakrzywiona, Achilles znów kiedyś przejdzie koło niego. Sprzeciw matematyka, który chce mu wyliczyć prawdopodobieństwo tego wydarzenia, ignoruje. Żółwie dożywają sędziwego wieku.

Wie jeszcze jedno: wołanie nie ma sensu. Gotuje się więc do drogi. Opiera przednie nogi o ziemię, podnosi głowę. I co widzi? Obok niego stoi, jak wrośnięty w ziemię, Achilles. On, który nie dysponuje już czasem, nie może się oczywiście poruszać.

— Posłuchaj, mówi żółw, jeśli się już tak złożyło, że cię spotykam — może moglibyśmy pójść razem na spacer i wspólnie się zastanowić?

— Nie mam czasu, syczy Achilles przez zaciśnięte zęby. Po prostu nie mam czasu.

— Podaruję ci jakiś, co prawda pod warunkiem, że mi obiecasz, iż go znowu natychmiast nie strwonisz. Oddalę się teraz trochę od ciebie, podczas gdy ty nie będziesz się ruszał.

— I tak nie mogę.

— Potem spojrzysz na mnie.

— I co?

— Założmy, że jest to rzut oka w przyszłość.

— Piękna przyszłość, mruży Achilles.

— Fizycy twierdzą, że w każdym opisie przestrzeni jest ukryty czas, i na odwrót. Tak więc dzięki tej odrobinie odległości podarowałem ci czas.

Achilles patrzy na zegarek. — Jak sądzisz, ile jest czasu?

— Skąd wziął się zegarek, pyta żółw.

— Z obrzeża galaktyki. Planeta nazywa się Ziemia.

— I co, pyta ponownie żółw, uszczęśliwiło cię to?

— Nie, odpowiada Achilles.

— Tak też myślałem.

— Słuchaj, mieliśmy rozmawiać o czasie, mruży Achilles, nie o szczęściu.

— Robię to przez cały czas. Spróbuj się poruszyć, ale powoli. A teraz spróbuj mnie dogonić, a potem wyprzedzić.

— A jeśli już cię przegoniłem?

— Według mistrza Zenona, nie możesz.

— Ale ty wiesz, że mogę.

— Nie sprzeciwiaj się.

— Ach, to jest ten trick, oburzył się Achilles, chcesz, żebym pozostał w tyle.

— Zawsze będziesz zostawał w tyle, Ostatecznie ja dźwigam na mym pancerzu świat, po którym ty człapiasz.

— A zatem jesteś pode mną.

Żółw rozgniewał się. Przystań wreszcie. Od kiedy przestrzeń ma przód i tył, górę i dół? Zapytaj fizyka.

Ale ten wyszedł już, zrozpaczony zamieszaniem w pojęciach i opuścił terażniejszość Achillesa i żółwia.

— Co teraz robimy, pyta żółw, przydałby się nam on w naszym współzawodnictwie.

— Lecę na księżyc, mówi Achilles.

— Ja idę jeść trawę.

— Nie przejeżdż się, mówi Achilles.

— Nie ma obawy, odpowiada żółw, bo zrę tak wolno, że jeszcze w trakcie jedzenia wszystko zostanie strawione. To ty się nie przejeżdż.

— Ja pożeram tylko czas, mówi Achilles, i wskazuje na swój gruby brzuch.

— Jeśli chcesz na Księżyc, będziesz musiał zrzucić sadło — mówi żółw tajemniczo i zaczyna wolno iść w kierunku pola sałaty.

— Powiedz mi tylko jeszcze jedno, woła Achilles za żółwiem, który wcale nie jest aż tak powolny. Dlaczego, podczas gdy pochłaniałem czas, nie zyskałem na przestrzeniach?

— Gigantyczny, rozdęty Achilles, to by ci się podobało. Jesteś głupi, mówi żółw. To był, po pierwsze, fałszywy czas, po drugie, błędna metoda. Twoim czasem jest terażniejszość, a ty pożarłeś czas matematyczny. Pochłonałeś liczby, ba, zagęściłeś je potem np. w maszynach; a po trzecie, biegłeś za czasem jakby się od ciebie oddalał. Czas jednak wychodzi z przyszłości tobie naprzeciw. Zapomniałeś po prostu, że to ty jesteś tym, który musi sobie stworzyć przestrzeń i czas. To Kohelet, „Księga kaznodziejów” — każda rzecz ma swój czas? Wówczas jesteśmy znowu przy wielu czasach, i niech się w tym połapie, kto może, ja nie potrafię.

One spotykają się w twojej terażniejszości, mówi żółw. Jeśli tego nie pojmujesz, nigdy nie rozprawisz się z tym problemem. Mam na myśli Cusanusa. „Dla kogo czas jest wiecznością, a wieczność czasem, dla tego problemy nie istnieją”. A teraz nie kradnij mi czasu. Liście sałaty na tym polu są doprawdy wyśmienite.

przełożyła Anna Milanowska

KSIĄŻKI

Prawdy niemiłe

Włodzimierz Bolecki

Prawdy niemiłe

Przedświt

Warszawa 1993.

Prawdy niemiłe mówione przez Włodzimierza Boleckiego dotyczą polskiej mentalności, sposobu myślenia, pojmowania historii, zrywania ciągłości kulturowej, stosunku do przemian rewolucyjnych i do idei narodowej. Swoje prawdy miłe i niemiłe Włodzimierz Bolecki wypowiada z pasją, którą godzi z obiektywnym warsztatem historyka literatury.

Zebrane w tomie szkice układają się w zwartą całość, mimo że dotyczą tak różnych spraw jak biografia Niemcewicza i powieści *Trenta Tre* Schuberta, opowiadania historyczne Władysława Terleckiego i dzieła Wacława Berenta. Bohaterką tych szkiców jest historia, oglądana jako dzieje żywe, gorące, które tworzą swoją biografiami konkretni ludzie oraz historia pojmowana jako model świadomości kształtowanej przez wieki, utrwalonej w pamięci pokoleń. I tu od razu przypominę szkic zatytułowany *Jaki elegancki nieboszczyk*, poświęcony Wacławowi Berentowi, o którym Bolecki napisał swoją pierwszą książkę w roku 1978.

Analizując twórczość Berenta autor wyróżnia właśnie te dwa oblicza historii — Bios i Logos, a egzemplifikacją tego podziału jest szkic o Julianie Ursynie Niemcewiczu. Jest to znakomity szkic o człowieku, który swoim

życiem tworzył historię i o autorze *Śpiewów historycznych*, czyli tym, który utrwalił logos historii.

Z cytatów, z krótkich charakterystyk, z analizy tekstu, z faktów historycznych Bolecki tworzy portret tak wyrazisty, że nudny autor *Powrotu posła* staje się nagle tym, kim był naprawę — wielką „jednoosobową instytucją życia publicznego”, kimś niezwykle, barwnym, ciekawym.

Ten szkic, jak zresztą pozostałe eseje Boleckiego, broni racji jednostki przeciw doktrynie, żywego człowieka przed zmumifikowaną historią, przed jej szufladkami i martwocie interpretacji.

Czytając te szkice miałam wrażenie, że okres oświecenia i ten czas, który rozpoczął się po 1795 roku, Włodzimierz Bolecki uważa za najważniejszy dla naszych dziejów. To wówczas zaczyna się formowanie nowoczesnej postaci demokratycznego państwa, to wówczas zaczyna się zmieniać polska mentalność. Pisząc o Józefie Mackiewicz i Gombrowiczu, Bolecki stwierdza: *I Gombrowicz, i Mackiewicz kwestionują «indywidualizm» jako rzekomo typową cechę współczesnej polskiej kultury umysłowej. Ich zdaniem nie liberum veto, nie zamilo-*

wanie do wypowiedzi indywidualnych i sądów przekornych, lecz karność, dyscyplina i kolektywizm są cechami myślenia współczesnych Polaków. Nie przekora i wylamywanie się spod sądów i gustów zbiorowości, lecz pokorne podporządkowanie się opiniom ogółu i autorytetom — zatem zgoda na intelektualny paternalizm.

Autor *Prawd niemiłych* zgadza się chyba z tym sądem, skoro analizując dzieła Niemcewicza i Berenta, Ryszarda Przybylskiego i Schuberta, jest cały czas po stronie tych pisarzy, którzy zmieniając formę i język walczyli o indywidualizm, o wolność jednostki, występowali przeciwko uniformizującej idei. Nieprzypadkowo Bolecki przedstawia sąd Niemcewicza, że *losy i charakter narodów zależą od systemu politycznego, i że miarą cywilizacyjnego rozwoju państw jest zakres wolności, z jakiego może korzystać jednostka.*

Tu zaczynają się podstawowe pytania Boleckiego o związek kultury przyszłości z jej przeszłością, o ciągłość cywilizacji. Z nich wynika, jak sądzę, traktowanie biografii pisarza i biografii bohatera dzieła historycznego jako symbolu przeżyć zbiorowości. Analiza dzieł Berenta — zarówno jego opowieści biograficznych, jak i historycznych, wydobywa z nich m.in. ów wątek ratowania idei oświecenia, dorobku polskiej kultury umysłowej, pojmowania narodowości jako organizmu otwartego, polietnicznego, w którym łączą się różne tradycje językowe, religijne, kulturowe. Sądzę, że nieprzypadkowo Bolecki wraca w swoich szkicach do takiego pojęcia narodu — np. w tytułowym eseju *Prawdy niemiłe*, gdy przedstawia poglądy Józefa Mackiewicza na państwo i naród, jego „ideę krajową”, jego gwałtowny spór ze stereotypami polskości.

Raz po raz powracają pytania o ideę narodową, która niegdyś, w czasach Niemcewicza łączyła się w sposób naturalny ze społeczną, a którą na początku XX wieku „znieprawili” rewolucyjne ruchy socjalistyczne, gdy zostały „upartyjnione” autentyczne ruchy społeczne.

Jeśli Włodzimierz Bolecki wydobywa z powieści Berenta, Terleckiego, Mackiewicza te wątki, które zaświadczenia o dostrzeżonej przez tych pisarzy groźbie ksenofobii, rosnącego „rasowego imperializmu”, nacjonalizmu, to czyni to również chyba i po to, by uzmysłowić nam trwałe istnienie tego niebezpieczeństwa, by przeciwstawić mu raz jeszcze pojęcie narodowości jako poczucia wspólnoty wartości, doświadczeń, wrażliwości.

Szkice historyczno-literackie Boleckiego, świetne w swej analizie formalnej, pisane ży-

wym, dynamicznym językiem, są przede wszystkim szkicami o przemianach polskiej mentalności. I wtedy, gdy analizuje rozwój polskiej powieści historycznej dążącej do przemierzania fikcji i dokumentu, i gdy zastanawia się nad językiem *Trenta Tre* — tego „bastionu wolności”, i gdy relacjonuje stosunek Berenta do dziejów społeczeństwa i sensu działań reformatorskich, zawsze głównym przedmiotem jego dociekań jest problem indywidualności, problem związków z przeszłością kulturową i cywilizacyjną.

Tak naprawdę, a przecież prawie wszystkie te szkice powstawały w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, Bolecki poprzez przedstawione biografie, wydarzenia literackie, przeanalizowane książki, domaga się szacunku dla demokracji, dla prywatności człowieka, dla uznania działań wymierzonych przeciwko marazmowi i rozpacz. Te szkice, jeśli nawet, być może nieświadomie, uznają wyższość życia, indywidualnej biografii nad literaturą, to przecież zajmują się czymś najważniejszym: „teraźniejszością niejawną” ukrytą w gąszczu codziennych wydarzeń.

Dla Boleckiego bowiem „Świat nieprzedstawiony”, ten, o którym się nie pisze, istnieje w każdej epoce i zawsze zadaniem twórcy było i będzie wyrazić prawdę „stłumioną w głębi życia publicznego”. Tym zaś, co zaświadcza o istnieniu takiej „rzeczywistości niejawnej”, jest słowo „nieuchronnie skazane na wolność i na roznoszenie wolności”. Może dlatego najważniejszym, najbardziej osobistym szkicem wydaje mi się esej o Schuberście. Tu sumują się niemal wszystkie wątki tej książki. Wątek, który ukazuje drogę prowadzącą od regionalizmu do uniwersalności, od historycznego konkretnego do ponadczasowości. Ten, który broni indywidualizmu i prawa do mówienia własnym głosem. Ten wreszcie, który opowiada się za historią jako biografiami żywą, a przeciwko umietycznionym dziejom. I najważniejszy, stanowiący podstawowy problem tych szkiców historyczno-literackich, będący poszukiwaniem rzeczywistości ukrytej po to, by po przeanalizowaniu jej zapytać — dlaczego o tym nie chcecie pisać, panowie? *Prawdy niemiłe* to książka broniąca tego, co dzieje się teraz, co nowe i wymuszające zmiany świadomości. I nie jest ważne, że bohaterowie Boleckiego żyli w XVIII i XIX wieku.

Przeszłość, jak wykazuje autor, jest związana z dniem dzisiejszym pytaniami, które zadane dwieście lat temu wciąż czekają na rzetelną odpowiedź.

Iwona Smolka

PRETEKSTY

Kosovo Polje

we współczesnej poezji serbskiej

Bitwę na Kosowym Polu literatura usna, a za nią pisana, przekazują jako rozstrzygającą i ostateczną klęskę państwa serbskiego, choć jest to niezgodne ze stanem faktycznym. 37 lat przed nią Turcy wtargnęli do Europy, po 2 latach zaczęli organizować najazdy na Półwysep Bałkański, a z chwilą, gdy umiera car Stefan Dušan (1355) następuje systematyczny podbój ziem serbskich, przynoszący najpierw śmierć dwóch władców, Vukašina i Uglješy, a następnie wasalstwo syna Uglješy Marka i opanowanie Nišu. Książę Lazar, który zjednoczył większość ziem serbskich (od Kosova po Mačwę) zawarł śmiało sojusze z Bałšićami, Vukiem Brankoviciem i królem Bośni Tvrtkiem I, a także władcą tyrnowskim, Ivanem Szyszmanem i przygotowywał się do decydującego starcia. Ale bitwa wyznaczona na dzień św. Wita o niczym nie rozstrzygnęła, oba skrzydła serbskie pod wo-

dzą Vukovicia i Brankovicia wycofały się bez większych strat, a śmierć sultana Murada I zadana mu przez Miloša Obilicia (Kobilicia) wstrząsnęła armią turecką i w państwie otomańskim zaczęły się szerzyć wieści o klęsce, tym bardziej że Tvrtko zawiadomił Florencję o odniesionym zwycięstwie nad Turkami. Decydujące znaczenie dla Serbów miała śmierć Lazara i jej następstwa w następnych latach, przede wszystkim hołd złożony sułtanowi przez carycę Milicę i Vuka Brankovicia i wpuszczenie Turków do Skopja. Ale począwszy od 1402 roku, kiedy pod Ankarą Tamerlan pokonał Turków, można mówić o ponad dwudziestoletniej złotej wolności państwa serbskiego: Stefan Lazarević zrzucił zwierzchnictwo sultana, otrzymuje tytuł despoty od cesarza bizantyńskiego, współpracuje z sułtanem Mehmedem I, który mu zwraca południowe tereny serbskie, poszerza zdecydowanie granice des-



Ryszard Legutko

Nie lubię tolerancji. Szkice i felietony

ARKA, Kraków 1993.

I Nie lubię tolerancji Ryszarda Legutki zapewne od razu zwróci uwagę bywalców księgarń intrygującym i nieco prowokacyjnym tytułem jak i niezwykle dosadną oraz wyrazistą w swej wymowie okładką, które razem są sugestywnym wprowadzeniem do lektury interesującej książki Legutki.

Myliliby się jednak ten, kto powodowany skandalizującą okładką sądziłby, że mamy tu do czynienia z doraźnym atakiem personalnym, wąsko rozumianą publicystyką polityczną czy też kolejnym ciosem wymierzonym w podłe konszachty spiskującej przeciw Polakom władzy. Myślę, że *Nie lubię tolerancji* to książka o szerszych ambicjach i dość rozległych perspektywach poznawczych, pomimo lekkiej i dość blądnej formuły, w jaką obleki swe rozważania Legutko. Zbierając pod wspólnym tytułem felietony oraz krótkie szkice publikowane w przeciągu kilku ostatnich lat na łamach krakowskiego „Zsuzu”, Legutko czynił to — jak sam wyznaje w krótkim wstępie — powodowany między innymi uczuciami złości i gniewu wywołanymi obserwacją postaw i poglądów, które w ocenie pisarza zdominowały myślenie polskiej inteligencji początkowo lat dziewięćdziesiątych.

Bohaterem felietonów Legutki jest przede wszystkim pewien typ współczesnego inteligenta, postaci coraz bardziej widocznej i wpływowej w naszym życiu umysłowym. Autor określa go mianem „nowoczesnego Polaka” i jego symboliczną opokę odnajduje w publicyście Adama Michnika i „Gazety Wyborczej”, gazety, która z dużym sukcesem pretenduje dzisiaj do tej roli, jaką przed rokiem 1939 pełniły wśród liberalnej i lewicującej inteligencji polskiej „Wiadomości Literackie”.

Cóż zdaniem Legutki wyróżnia dzisiejszego „postępowca”? O świadomości nowoczesnego Polaka zdaje się decydować przede wszystkim postrzeganie polskiej rzeczywistości w kategoriach dychotomicznego, zideologizowanego przeciwstawienia Postępu i Ciemnoty, dziełn Polaków na tych, którzy reprezentują obóz Oświeconych i Nowoczesnych i tych, którzy z uporem bronią prymitywnego Ciemnogrodu. Stąd też rodzi się, tak typowe zdaniem Legutki, przekonanie Nowoczesnych o wyższości własnego postrzegania świata i — co więcej — o obowiązku wyzwolenia społeczeństwa z okowów głupoty, ciemnoty i zacofania. Owa misja winna się spełnić pod sztandarami Tolerancji, a jej celem ostatecznym będzie przyswojenie Polakom ideałów nowoczesnej *par excellence* cywilizacji Zachodu.

Legutko otwarcie przyznaje, że złości go taka postawa. Odrzuca postrzeganie naszej rzeczywistości w kategoriach antynomii postęp-reakcja czy oświecenie-ciemnogród. Nie lubi tolerancji Nowoczesnych. W propagowanej przez nich postawie „życzliwej otwartości” wobec każdego fenomenu pochodzącego z odmiennych formacji kulturowych czy systemów wartości dostrzega pewne niepokojące konsekwencje. „Życzliwa otwartość” żąda apriorycznej aprobaty dla tego, co „inne”, „obce”, „marginalne” z tej tylko racji, że jest naznaczone piętnem odmienności. Co więcej, żąda od nas — pod groźbą naznaczenia nas

epitetem ludzi nietolerancyjnych — abyśmy uznali to, co «inne», za obiekt nie tylko godny zainteresowania, ale też godny szacunku i aprobaty. W swej radykalnej formie, nie tak trudnej do osiągnięcia, „życzliwa otwartość” staje się pasją o charakterze negatywnym, dążącą do powszechnej niwelacji, zacierania granic tego, co różnorodne; w swej tolerancyjności niebezpiecznie zbliża się do granic nihilizmu. Jak zauważa Legutko tak pojmowany „(...) człowiek tolerancyjny jest całkowicie pusty, bo pozbawiony trwałych przekonań: potrafi wszak tylko pełnić funkcje cenzora, wykazując innym, że są mało otwarci, czyniąc tysiące zastrzeżeń wobec własnego światopoglądu, tak, żeby przypadkiem nie być posądzonym o brak otwartości”.

Współczesnymi przejawami i swoistą konsekwencją „życzliwej otwartości” są w ocenie autora pełne nabożnego szacunku i powagi postawy intelektualistów wobec kontrkultury, feminizmu, postmodernizmu, idei europejskiej, sztuki alternatywnej, buddyzmu, antyklerykalizmu itd. Legutko celnie punktuje takie popularne i modne obecnie poglądy wskazując na ich niekonsekwencje, anachroniczność, banalność czy po prostu śmieszność a nawet głupotę. Zwraca też uwagę w jak naiwny i w istocie powierzchowny sposób nowoczesny Polak pojmuje współczesną kulturę. Kopiując jaskrawe i zarazem bezwartościowe elementy współtworzące wizerunek dzisiejszego Zachodu, nowoczesny Polak — pełen szlachetnych intencji i bezmyślnego konformizmu — zaczyna budować w naszym kraju kulturę na miarę, jak dosadnie pisze Legutko, postmodernistycznego grajdoła i śmietnika.

II Cóż więc przeciwstawiać postawie Nowoczesnych? Czy ich pozytywną antytezą — niejako *à rebours* — będzie Polak staroświecki?

W pewnym sensie tak, choć zapewne Legutko uniknąć chciałby tak prostej dychotomii. W jego postawie kryje się przecież wiele ironii wobec „staroświeckich” manifestów wiary Piotra Wierzbickiego, głośniejszych w latach osiemdziesiątych. Autor *Nie lubię tolerancji* jest bowiem specyficznym konserwatystą, dalekim od pokus wywyższającego się ponad społeczeństwo arystokraty, a równocześnie pełnego szacunku dla niezależności i godności przeciętnej jednostki. Legutko dystansuje się od namiętności rewolucjonisty, odległy jest też od jaskrawych potępień współczesności.

Na skrajności i jaskrawości nie pozwalają pisarzowi jego apologie „przeciętności”, „normalności”, wreszcie swoiste letni stosunek wobec tego, co inne i nowe. Sceptyczny zwolennik gombrowiczowskich letnich temperamentów, Legutko jest jednak daleki od akceptacji antropologii autora *Kosmosu*. „Życzliwej tolerancji” przeciwstawia przecież postawę, która — choć wierna tolerancji — nie widzi jednocześnie niczego „reakcyjnego” w przekonaniu, że ludzka kultura opiera się na systemie świadomości przyjętych stałych norm i autorytetów. Legutko wyżej więc ceni stabilność i zdrowy rozsądek mieszczańskiego świata Dulskich niż chaos artystycznych undergroundów. Opowie się po stronie tradycji i religii, ładu i ciągłości

kulturowej, wypowiedzie wyzywającą pochwałę Sienkiewicza i May’a, a odwróci się z pełną przekąską kpina od alternatywnych prowokacji „brulionu”, wreszcie na przekór chwalcem Lyncha z nostalgią wspomni staroświecki western.

Burzuj epatujący awangardzistów? Być może. Legutko chce być pisarzem przekornym. Zdaje się zapraszać do myślenia, zachęca do pewnych rewizji, przewartościowań, a może tylko do zastanowienia się nad atmosferą polskiego myślenia lat ostatnich. Z dużą brawurą i pewnością autor wbił na terenie naszej polityki, kultury czy obyczajowości tabliczki z napisami: „Uwaga — banał” i „Ostrożnie — obszar skażony bezmyślnością”.

Innymi słowy lektura książki Legutki pełna jest niepokoju i rozmaitych wątpliwości. Czy wróg, z którym walczy pisarz, jest realny; czy może nazbyt wymyślony? Czy rzeczywiście polskie myślenie najbliższych lat zostanie naznaczone tak niezdolnie banalnym sporem staroświeckich Pimków i nowoczesnych Młodziaków? Jak duża odległość dzieli zdrowy rozsądek i sceptycyzm wobec „modernistycznego grajdoła” od zadowolonej z siebie, zadufanej pogardy dla tego, co nowoczesne i zachodnie? Czy książka Legutki będzie zwalniała od myślenia, czy przeciwnie?

Pytania można mnożyć i nie w zbiorze *Nie lubię tolerancji* szukać na nie wszystkie odpowiedzi. W swej walce Legutko posługuje się przecież bronią lekkiego kalibru, taką, która nie lubi pocisków obciążonych zbyt uczyntym uzasadnieniem czy wnikliwą analizą. Felieton, jak podkreśla autor, jest bronią szybkiego reagowania i jego wartość tkwi między innymi w tym, jak dalece czytelnik felietonu podzieli sceptycyzm autora podążając drogą, którą mu zaledwie zaznaczono. Tę rolę pisarstwo Legutki spełnia znakomicie. Także dzięki literackim walorom jego książki, której zaletami są bar-

dzo wyrazisty i klarowny język, umiejętne łączenie wnikliwej, codziennej obserwacji i uogólniającej abstrakcji, wreszcie spora dawka humoru i ironii.

III Zauważmy na koniec, że swoją książką Legutko reprezentuje dość rzadką w obecnym życiu umysłowym cnotę. O postawie pisarza, nie od dzisiaj zresztą (że przypomnę teksty Marka Leskiego z podziemnej „Arki”), decyduje konsekwentnie manifestowana niezależność i odwaga intelektualna, poczucie odpowiedzialności za jakość polskiego myślenia, wreszcie głośno wypowiedziana nieufność i sceptycyzm wobec aktualnie obowiązujących mód, frazesów i snobizmów. Wydaje mi się, że Legutko reprezentuje pewną odmianę zapomnianej już nieco postawy klerka, który za swe zadanie uważa baczną analizę popularnych wśród elit inteligentekich oczywistości. Pod wzrokiem klerka takie oczywistości mogą się okazać zaledwie wpływowymi banalami, popularnymi schematami czy półfałszami przykrywającymi zwykłą bezmyślność, konformizm lub bigoterię. Klerkizm, gdy jest konsekwentny, żąda od innych, ale i od siebie, wiecznej nieufności. Nic nie jest mu bardziej nienawistne niż zaufanie. Jego podejrzliwość każe mu iść pod prąd zbiorowych oczekiwań i fascynacji. Nic nie jest groźniejsze dla klerka niż sytuacja, w której jego myśl aprobują wszyscy. Bezkompromisowy klerk mówi prawdy nielubiane i dlatego jest skazany nieodwołalnie na los outsidera, człowieka samotnego, przemilczanego. Tym niemniej jakże potrzebną postacią jest klerk! Trudno sobie wyobrazić normalnie funkcjonujące życie umysłowe bez tej tak potrzebnej, choć czasem nieznośnej niepokojącej postaci.

Maciej Urbanowski

potowiny, przyłączając Zetę i północną Dalmację i uzyskuje dostęp do morza. Kwitnie kultura, powstają nowe ośrodki piśmiennictwa serbskiego, nikt nie ma poczucia klęski narodowej. Dopiero po śmierci Stefana Lazarevicia, kiedy Turcy wznawiają najazdy na despotovinę, Serbia powoli traci niepodległość i wpada w kulturalne zacofanie.

Poezja serbska stworzyła mit klęski narodowej na Kosowym Polu całkowicie odrzucając to jedno, konkretne wydarzenie od przetrzeni historycznej, kładąc nacisk albo na fakty nie mające miejsca (rzekoma zdrada Brankovicia), albo w istocie nie tak ważne (śmierć Lazara) lub wyolbrzymiające porażkę Serbów (śmierć 9 synów Jugoviciów), a także przemilczając to wszystko, co poprzedzało rok 1389 (rozpad carstwa Dušana) i to, jak kilkanaście lat po bitwie Serbia stworzyła wielkie, wolne państwo. Dlaczego? Nie tylko ze względu na brak obiektywnych przekazów historycznych i różnorodne interpretacje przebiegu i końca samej bitwy (jak wspominałem: początkowo dla Tvrtka i armii sultanskiej Turcy ponieśli sromotną klęskę). Głównie z tego powodu, aby nie winić za utratę państwowości dziedziców Lazara, w tym Milicy i tych, którzy po śmierci Stefana Lazarevicia roztrwonili jego zdobycze. Wszak godnie ginąć na polu bitwy niż w wyniku rozgrywek politycznych; lepiej stworzyć legendę o utracie niepodległości w czasie bohaterskiej bitwy niż zajmować się relacjonowaniem zatargów między zwaśnionymi rodami. Na Kosowym Polu zrodził się także kult Bohatera. Kult cara Lazara, Miloša Obilicia, Marka Kraljevicia i tylu innych. Kult

osoby świeckiej i rycerza, oddającego życie na ołtarzu ojczyzny, w dużym stopniu wzorowany na kulcie św. Sawy. Ten kult zwracający uwagę na wyizolowanego człowieka, poddanego niekontrolowanemu emocjom, oddalił społeczeństwo od zrozumienia procesu historycznego. Bitwa na Kosowym Polu wyzwolona z ram historii zawędrowała w regiony wyobraźni ludowej, dając upust ideologizacji własnej przeszłości. Mit i legenda zastąpiły historię. Kult Lazara i Kraljevicia wyparł wiedzę o dokonaniach Stefana Lazarevicia, mit walki z bronią w rękę do ostatniej kropli krwi z przeważającymi siłami wroga, zrozumienie konieczności układania się z sultanem Mehmedem.

Poezja serbska, opierając się na legendzie i mitach, nie dopuszczając do głosu prawdy historycznej, częściowo niewygodnej, a częściowo zaciemniającej wizerunek umęczonej Serbii przekazała fałszywy czy też zafałszowany obraz Kosowskiej Bitwy jako końca wolności. „Sve prugata Kosovo, ode srpska slava / gde su bili gradovi, sada raste travan” — pisze Sterija Popović, a wtóruje mu Jovan Subotić: „Izčežoše oni krasni dani / koje Dušan svetu dade svom”. Widzimy więc, jak poezja XIX wieku powtarza interpretację historyczną pieśni ludowej: to, co było przed Kosovem, to „srpska slava” i „krasni dani”, choć już od 1355 roku zmierzch tej sławy był ewidentny; zaś sama bitwa nie mogła przesądzić o definitywnej jej utracie, skoro już za kilka lat powstanie despotovina. Począwszy od XVIII stulecia wiersze serbskich (a także i chorwackich — wystarczy przypomnieć sonety Nazo-

ra) autorów, poświęcone Kosowemu Polu prawie zawsze i niemal bez wyjątku nawiązują, stylistycznie bądź tematycznie, do odpowiedniego cyklu epickich pieśni ludowych, a tym samym świadomie i celowo, z konsekwencją godną narodowej, a nie artystycznej sprawy powtarzają uświęcony już tradycją mit klęski. Poezja o Kosowym Polu za każdym razem buduje na nowo „spomenik prošlosti burne”, jak się wyraził Vojislav Ilić, nawet w sytuacjach dla Serbii bardzo korzystnych z punktu widzenia polityki międzynarodowej. To nie tylko powrót do kolektywnej podświadomości, zarejestrowanej w poezji ludowej, ale także, a może przede wszystkim sięgnięcie do interpretacji metafizycznej, wszak na Kosowym Polu została zapisana przyszłość Serbii. „Kos naglas čita / Tajna slova rasuta po polju” pisze Vasko Popa, a Miodrag Pavlović przedstawia prorocstwo Lazara w przeddzień bitwy: „Mnogo se bunara u kneževini otvara noćas / da posečene glave junaka sutra / u bistrinu veka vekova prime”. To także ponadczasowe usprawiedliwienie serbskich niepowodzeń w przyszłości, od rozległej diaspory po utratę państwowości. Ten, kto zginął na Kosowym Polu, zmartwychwstał w literaturze, dlatego wcale nie dziwi częste utożsamianie bitwy z pieśnią (jak u Popy).

Współczesna poezja nie dokonuje przewartościowań mitu kosowskiego i nie ma takiej ambicji. Zastanawiający brak refleksji historycznej czy filozoficznej należy tłumaczyć chęcią podtrzymywania kultu i legendy, co mieści się przecież w etosie serbskości. W powoływaniu do życia „królestwa ducha” niepotrzebna jest

wcale pamięć o uciętej głowie Murada, lecz właśnie o uciętej głowie Lazara (jak w wierszach Popy i Pavlovicia). Klęska usprawiedliwia pomyłki, zwycięstwo krepuje ruchy. Odejdźcie od ludowej tradycji nastąpiło najwyraźniej w wierszach Popy z cyklu *Kosovo Polje* (7 wierszy w tomie *Uspravna zemlja*, pisane w l. 1958–1971) oraz w wierszu Pavlovicia *Zbor knežev uoči bitke* (1963). Jest to jednak wyłącznie ucieczka od jednoznaczności formy i jednostronności opisu. O ile wiersz Ilicia *Muratovo Tulbe* z k. XIX wieku wchłania jeszcze bez oporów takie poetyzmy, jak „Kosovo ravno” czy „sablja britka”, a nawet nieznacznie przetransformowane „polje smrti”, o tyle w wierszu Pavlovicia czytamy o polu „gde su nam kosidbu kosovi spremili”, a w wierszu Popy ważne jest „kosovo poslanstvo”. W żadnym wypadku nie można tu mówić jednak o porzuceniu mitycznej lektury historii. Pieśń kosa u Popy i kosa u Pavlovicia, aczkolwiek przesuwają akcent na sam fenomen Kosova i symbolicznie otwierają możliwość wniknięcia w sens śmierci (czy też klęski), nie oznaczają faktycznie podważenia mitu. Powtarzam więc: to ucieczka od jednostronności opisu i jednoznaczności formy, ale wcale nie od opisu i wyznaczonej wcześniej formy. W dalszym ciągu dominuje przedstawianie zewnętrznej bitwy, przygotowania do niej i krajobrazu po bitwie, zaś rozmowa z historią sprowadza się czy to do wysłuchiwania „zielonej pieśni kosa” (Popa) czy też szumu „wody wiecznej” (Pavlović).

Julian Kornhauser

Artykuł powstał w oparciu o wyniki ankiety czytelnicy, przeprowadzonej wiosną ub. roku wśród studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Ankieta dotyczyła wyłącznie literatury pięknej i składała się z pięciu pytań. Pierwsze z nich dotyczyło ostatnio przeczytanych książek, przy czym w odniesieniu do studentów filologii pojawiła się uwaga, by nie wymieniać tych tytułów, których przeczytanie wiązało się z obowiązkiem egzaminacyjnym. W drugim pytaniu respondentów proszono o podanie ulubionych prozaików, w trzecim — ulubionych książek, w czwartym — ulubionych poetów (wszędzie można było podawać kilka nazwisk, bądź tytułów). Ostatnie pytanie ankiety miało charakter bardziej egzaminujący aniżeli czysto sondażowy. Chodziło w nim o zbadanie wiedzy literackiej respondentów za pomocą prostego testu: tytuły książek z jednej kolumny należało połączyć z odpowiednimi nazwiskami pisarzy z drugiej. Aby nieco skomplikować sprawę, tytuły dobrano na zasadzie leksykalnego podobieństwa. Były to *Czarne kwiaty* Norwida, *Kwiaty zła* Baudelaire'a, *Kwiaty polskie* Tuwima, *Faust* Goethego, *Doktor Faustus* Manna, *Ziemia jałowa* Eliota, *Ziemia Ulro* Miłosa, *Kompleks polski* Konwického, *Kompleks Portnoya* Rotha, *Portret Doriany Graya* Wilde'a i *Portret artysty z czasów młodości* Joyce'a. Jednym słowem — klasyka ostatnich dwóch stuleci.

Ankieta objęła 100 studentów UJ (czyli ok. 1%) z 14 kierunków (romanistyka, anglistyka, italianistyka, polonistyka, filmoznawstwo, pedagogika, historia, socjologia, nauki polityczne, prawo, historia sztuki, geografia, biologia, matematyka). Pod uwagę brano przede wszystkim studentów od drugiego do czwartego roku, przy czym na każdym kierunku sondowano tylko jeden wybrany rocznik (zawsze od 5 do 15% roku). Początkowo autorzy ankiety zamierzali wykorzystać ją także na innych uczelniach, ale znalezienie reprezentatywnej grupy na AGH czy AR okazało się niemożliwe. W tamtejszych środowiskach można bowiem napotkać wydziały, na których czyta się dużo dobrej literatury, ale i takie, gdzie literatura piękna jest pojęciem nieznanym. Stąd też poniższe wyniki nie są w pełni miarodajnym obrazem stanu czytelnictwa wśród studentów. Także i sama ankieta nie pretenduje do rangi poważnego, socjologicznego sondażu, bo nie takie cele jej przyswiecały. Ma ona natomiast za zadanie przybliżyć zainteresowanym obraz aktualnie panującej mody czytelnicy, te trendy i nazwiska, które w hierarchii studenckiej odgrywają rolę dominującą. Sondaż ten pokazuje, jakie nazwiska przetrwały próbę czasu, jakie rzeczy odkrywają się ponownie, jaką wreszcie pozycję w tak rozumianej hierarchii zajmuje literatura popularna.

AMERYKA, AMERYKA...

W odpowiedzi na pierwsze pytanie, dotyczące ostatnio przeczytanych książek, pojawiały się tytuły rozmaite. Ogółem 100 osób podało aż 195 pozycji. Wśród nich przeważały książki polskie — 61, ale zaraz na drugim miejscu uplasowały się tytuły amerykańskie — 45. Wynik ten dobitnie potwierdza wzrastające u nas zainteresowanie kulturą zza oceanu. Zdecydowanie z tyłu zostały najbardziej znaczące literatury europejskie: francuska — 18 tytułów (9%), rosyjska i angielska — po 15, niemiecka (wraz z Musilem, Kafką i Dürrenmattem) — 14. Na siódmym miejscu znalazła się literatura włoska z 6 pozycjami.

Wśród 195 wymienionych książek, aż 147 reprezentuje prozę, 21 — poezję (godne zauważenia, że pojawiły się tu aż trzy tomiki Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej), a 8 — dramat (trzy tytuły Szekspira, poza tym — Ionesco, Dürrenmatt, Ibsen, G.B. Shaw i Molier). Dziewniactwo książek pochodzi natomiast spoza literatury pięknej (są to m.in. *Wojna żydowska* Józefa Flawiusza, *O szczególności* Tatariewicz czy *Rafael* Cepika). Warto zauważyć też, z jakich epok pochodzą wymienione książki. Otóż XX wiek reprezentuje 159 tytułów, z XIX jest 25 pozycji, natomiast 11 książek powstało w wiekach wcześniejszych. Nie od rzeczy będzie podać ich tytuły *Niebezpieczne związki* Laclose'a, *Hamlet*, *Sen nocy letniej* i *Dramaty* Szekspira, *Dramaty* Moliera, *Boska komedia* Dantego, *Kandyd* Woltera, *Księżę Machiavellego*, *Emil* Rousseau, *Kwiatki świętego Franciszka* i wspomniana *Wojna żydowska*.

Do najczęściej czytanych książek należały: *Lolita* Nabokowa *Portret Doriany Graya* Wilde'a i *Władca much* Goldinga oraz *Mistrz i Malgorzata*, *Maly książe*, *Weiser Dawidek* Huellego, *Wybór Zofii* Styrona i *Witajcie w malpiarni* Vonneguta. Zwraca uwagę niesłabnąca popularność powieści Bułhakowa, a także wysoka pozycja najwybitniejszego — zdaniem krytyki — debiutu prozatorskiego lat osiemdziesiątych — książki Pawła Huelle.

Gdyby jednak popularność pisarzy mierzyć ilością ich dzieł na liście, wówczas na pierwszym miejscu należałoby umieścić Waldemara Łysiaka (5 książek), a tuż za nim Czesława Miłosa, Erica Marię Remarque'a i Hermana Hessego (wszyscy po 4 tytuły). Zastanawiający jest renesans popularności obu niemieckich pisarzy, których przecież trudno sytuować w obrębie literatury najnowszej.

Jest rzeczą oczywistą, iż całościowe jedynie rozpatrywanie wyników ankiety miałyby się z celem. Nieodzwone więc stało się rozbięcie ogółu ankietowanych na kilka grup, zestawionych w opozycyjne pary. I tak osobno zbadano odpowiedzi studentów filologii, osobno zaś „grupy niefilologicznej” (studenci pozostałych 9 kierunków). W podobny sposób rozpatrzono głosy kobiet i mężczyzn oraz „grupy krakowskiej” i studentów spoza Krakowa.

Wymienione kategorie będą pomocne w dalszej części ankiety, jednak już teraz warto zasygnalizować pewne znaczące zjawiska. I tak np. lista pozycji „grupy filologicznej” znacznie odbiega od spisu grupy przeciwnej. Studenci filologii czytają nieporównanie więcej literatury najnowszej i to głównie uważanej za awangardową (np. tylko tu pojawia się Pynchon i Gaddis, zaś Łysiak występuje zaledwie raz). Na liście studentów z innych kierunków przeważa klasyka (np. tylko tu znajdziemy Żeromskiego czy Remarque'a, próżno natomiast szukać Kundery). Inną ciekawą różnicę dostrzec można, studiując odpowiedzi kobiet i mężczyzn. Otóż na 21 tomików poezji na liście aż 16 podają kobiety. Z 36 pozycji napisanych przed wielkim XX studentki wskazały 25 tytułów. Wnioski nasuwają się same — studijujący mężczyźni preferują nowoczesną prozę, podczas gdy kobiety nie stronią od poezji i literatury dawnej.

HENRYK KRZEPI

Drugie pytanie ankiety dotyczyło ulubionych prozaików. Możliwość podania kilku nazwisk spowodowała, że na liście znalazło się aż 160 autorów, przy czym 12 wykluczono jako twórców spoza literatury pięknej. Tak więc wśród 148 pisarzy najczęściej reprezentowało prozę polską — 44, natomiast drugie miejsce — podobnie jak poprzednio zajęli przedstawiciele literatury amerykańskiej — 36 nazwisk. Na następnych pozycjach: proza francuska — 20, angielska — 16, rosyjska — 8, niemiecka — 6, iberoamerykańska — 4. Inne literatury reprezentowało 14 nazwisk (włoska, rumuńska, norweska, hiszpańska, węgierska, czeska i duńska). Biorąc pod uwagę epoki, w których tworzyli wymienieni pisarze, przewaga literatury XIX i XX wieku była olbrzymia. Tylko trzej autorzy pisali przed XIX stuleciem: Szekspir, Stanisław Orzechowski i Krzysztof Opaliński (w dodatku status Szekspira jako prozaika jest mocno wątpliwy). Zabrakło więc znaczących pisarzy XVIII wieku: Woltera, Fieldinga, Sterne'a, Rousseau czy Diderota, a także prozaików starożytnych.

Niespodziewanym zwycięzcą został Sienkiewicz, na którego głosowało 18% ankietowanych. Na drugim miejscu znalazł się Dostojewski (17%), na trzecim — Konwicki (12%). A oto jak przedstawiała się kolejność do dziesiątego miejsca: Mann i Saint-Exupery — po 10%, Gombrowicz i Łysiak — po 9%, Żeromski — 8%, Remarque i Hemingway — po 7%. Niespodzianki? Poza dość zaskakującym zwycięstwem Sienkiewicza, dziwiwy wysokie pozycje Saint-Exupery'ego i Żeromskiego. Potwierdziła się natomiast duża popularność Łysiaka, Gombrowicza, Hemingwaya

i Remarque'a, doceniono Konwického. Warto wspomnieć o pozycjach pisarzy spoza pierwszej dziesiątki. Zaskakująco słabo wypadli Vonnegut (5%), Kafka i Lem (obaj po 3%). Nieco więcej głosów można się było spodziewać w przypadku Kundery (6%), Hłaski (6%) i Mrożka (5%). Myślę, że szczególnie ten ostatni będzie systematycznie tracił na popularności; jego opowiadania najwyraźniej nie sprostały próbie czasu — większość z nich jest dziś po prostu anachroniczna. Dostojewski (6%), Wilde (5%), Prus (4%), Pynchon (3%) oraz ... Bratny (3%). Dodać należy, że próg 2% przekroczyły tylko 12 polskich pisarzy (oprócz wymienionych wyżej, Nowak i Schulz — obaj po 4% głosów).

Jak odpowiedzi na drugie pytanie rozłożyły się w poszczególnych grupach? Otóż u filologów zwyciężył Dostojewski z 9 głosami, przed

stępujące tytuły: *Czarodziejska góra* Manna — 6%, *Mistrz i Malgorzata*, *Trylogia* i *Luk Tryumfalny* Remarque'a — wszystkie po 5% oraz *Imię róży* i *MW* Łysiaka, *Świat według Garpa* Irvinga, *Paragraf 22* Hellera i *Ptasiek* Whartona — wszystkie po 4%. Zwraca uwagę obecność trzech nowych powieści amerykańskich, które zrobiły w Polsce karierę i wciąż zdobywają nowych czytelników.

Wśród 179 tytułów jest sporo ciekawych, sporo też dziwnych pozycji. Zaskoczeniem jest np. obecność *Dymów nad Birkenau* Szmaglewskiej. Dużą niespodzianką był fakt, iż tylko jedna osoba uznała *Biblię* za swą ulubioną książkę. Być może odegrały tu rolę względy religijne, które nie pozwalały niektórym przesunąć księgi świętej ze sfery sacrum do sfery profanum.

Jacy autorzy pojawiają się najczęściej? Otóż absolutnym rekordzistą jest tu Łysiak z 8 tytu-

CO CZYTAJĄ STUDENCI

Sienkiewicz i stare panny

Gombrowiczem — 7 głosów i Konwickim — 5 głosów. Czterech pisarzy miało tu po 4 głosy: Hemingway, Mann, Nowak i Kundera. W „grupie niefilologicznej” najwięcej głosów padło na Sienkiewicza — 15, na kolejnych miejscach znaleźli się Saint-Exupery i Łysiak — po 9 głosów, Żeromski i Dostojewski — po 8 głosów, Konwicki — 7 głosów i Mann — 6 głosów. Wśród studentów filologii nie ma — jak widać — miłośników Łysiaka i Żeromskiego (nikt ich nie wymienił), natomiast niewielu zwolenników mają Sienkiewicz (3 głosy) i Saint-Exupery (1 głos). Odwrotnie w grupie studentów z innych kierunków — cieszący się wśród adwersarzy sporą popularnością Nowak, Gombrowicz i Kundera, tu nie znaleźli wielu zwolenników (odpowiednio: 0-2-2 głosy).

Dość ciekawe jest porównanie wyników kobiet i mężczyzn. Pleć piękna opowiedziała się za Dostojewskim — 13 głosów, który wyprzedził Saint-Exupery'ego — 10 głosów, Sienkiewicza — 9 głosów, Konwického i Manna — po 8 głosów. U mężczyzn wygrał Sienkiewicz — 9 głosów, przed Żeromskim — 5 głosów oraz Dostojewskim, Bułhakowem i Łysiakiem — po 4 głosy. Studentki podawały więcej nazwisk, wykazując się bardziej zróżnicowanym gustem niż studenci. Sporo więc nazwisk pojawiło się tylko na liście kobiecej: Saint-Exupery (10 głosów), Remarque (7), Wilde (5), Hesse (4) i Steinbeck (4).

Porównanie obu list każe wysnuć wniosek następujący: kobiety przywiązane są do tradycyjnej, realistycznej literatury, mającej swój wzorzec w XIX-wiecznej powieści, mężczyźni natomiast poszukują awangardowych, nietypowych formalnie, dzieł literatury najnowszej. Wspólna obu grupom jest wysoka ocena Sienkiewicza.

ŁYSIAK REKORDZISTA

W trzecim punkcie ankiety respondentów pytano o ich ulubione książki. Podano 179 tytułów, a proporcjonalny udział poszczególnych literatur narodowych był zbliżony do poprzedniego (w pytaniu pierwszym i drugim). Zwyciężyła literatura polska — 46 tytułów (25,5%), ale tuż za nią znalazła się literatura amerykańska — 42 tytuły — to wyraźny symptom postępującej amerykanizacji naszego rynku czytelnicy. Podobnie jak i przedtem, na następnych miejscach pojawiły się wielkie literatury europejskie.

Jaki tytuł zwyciężył? Otóż dosyć niespodziewanie *Maly książe* Saint-Exupery'ego, który zgromadził 13% głosów (były to przede wszystkim głosy kobiece). Fakt ten dowodzi, że tęsknota za wielkimi uczuciami, przyjaźnią, miłością, a także potrzeba obecności humanizmu częstokroć przesłania czysto literacką, estetyczną wartość utworu. Zauważmy, że idea powieści, jakkolwiek szlachetna i wzniosła, została przedstawiona niemalże explicite, przez co książka zatraciła, tak istotne w nowoczesnej literaturze, obrazy dramatyzmu ludzkich wyborów oraz względności zasad, na jakich owe wybory opierać się mogą. Wydawałoby się więc, iż taki model prozy powinien być postrzegany jako staroświecki i nieatrakcyjny.

Na kolejnych miejscach znalazły się na-

łami (14%), w dalszej kolejności: Sienkiewicz — 5 tytułów, Dostojewski — 4, Remarque — 4, Hesse — 4, Steinbeck — 4, Mann — 3 i Wharton — 3.

Szczególną uwagę zwraca pozycja Waldemara Łysiaka, którego niemal każda książka okazuje się bestsellerem. Jest to o tyle zaskakujące, iż Łysiak jako pisarz od paru już lat nie ma nic ciekawego do zaoferowania (tymczasem pojawiają się tu jego nowe pozycje). W latach 70-tych cieszył się zasłużoną renomą znakomitego napoleonisty, potrafiącego spożytkować swe pasje w interesujących powieściach czy esejach. Na tym tle jego ostatnie książki (*Dobry, Lepszy, Konkwista*) jawią się jako kompletne niewypały, produkty jałowej wyobraźni i mizernego talentu.

Wśród filologów dwie książki na czele: *Ptasiek* Whartona i *Czarodziejska góra* Manna — po 4 głosy. Tuż za nimi kolejne dwie powieści: *Mistrz i Malgorzata* i *Maly książe* — po 3 głosy. Natomiast wśród studentów z kierunków niefilologicznych zwyciężył *Maly książe* — 10 głosów, wyprzedzając wyraźnie *Luk Tryumfalny*, *MW* i *Trylogię* — wszystkie po 4 głosy. Na liście studentów z filologii jest sporo tytułów, których próżno by szukać w „grupie niefilologicznej”: *Ptasiek*, *A jak królem, a jak katem będziesz* Nowaka, *W poszukiwaniu straconego czasu* Prousta, *Ulisses* Joyce'a, *Pieśni Maldorora* Lautreamonta czy *Piętaszek, czyli ochlanie Pacyfiku* Tourniera. Są tu wszystkie cztery tytuły Hessego, natomiast tylko raz pojawiają się Łysiak i Remarque. Także na liście filologów znaleźć można wszystkie występujące w zestawieniu książki sprzed XIX wieku. Lista studentów z pozostałych kierunków wygląda zupełnie inaczej. Tylko na niej znalazły się *MW*, *Przedwiośnie*, *Przemienność z wiatrem*, *Potop* i *Ogniem i mieczem*.

Studentki zdecydowanie opowiedziały się za *Malym księciem* — 11 głosów. Daleko z tyłu następne tytuły: *Czarodziejska góra* i *Luk Tryumfalny* — po 5 głosów oraz *MW*. Dwa ostatnie tytuły pojawiły się wyłącznie na liście kobiet, podobnie jak *Wyspy bezludne* Łysiaka, *Twierdza* Saint-Exupery'ego, *Portret Doriany Graya*, *Niebezpieczne związki*. Na uwagę zasługuje fakt, iż wszystkie głosy na książki Remarque'a i Hessego oddały właśnie studentki!

„NIE JESTEM STARĄ PANNĄ...”

U lubieni poeci. To czwarte z kolei pytanie ankiety. Tym razem lista nazwisk jest dużo skromniejsza niż w przypadku prozaików. Wymieniono 95 poetów, z których zdecydowaną większość stanowili twórcy rodzimi — aż 50 nazwisk. Na kolejnych miejscach: poeci angielscy — 14, amerykańscy — 9, francuscy — 8, rosyjscy — 5, niemieccy — 3, włoscy i węgierscy — po 2. Większość wymienionych poetów to przedstawiciele XIX i XX wieku, niemniej jedenastu twórców pochodzi z wieków dawniejszych.

Są to: G. Herbert, J. Donne, Dante, Szekspir, Petrarca, Krasicki, K. Janicki, W. Potocki, Kochanowski oraz Goethe i Blake.

A oto jak wygląda kolejność w pierwszej dziesiątce wedle ilości głosów: Herbert (16%), Pawlikowska-Jasnorzewska (15%), Leśmian

i Miłosz (po 14%), Baczyński (13%), Norwid (12%), Gałczyński (11%), Eliot (10%), Szymborska i Mickiewicz (po 7%). Powyższe wyniki świadczą o dobrej raczej kondycji polskiej poezji, która jest czytana chętniej niż liryka obca. W pierwszej trzydziestce znalazło się tylko 7 zagranicznych poetów — poza Eliotem byli to Baudelaire (6%), Dickinson (4%), Donne (4%), Szekspir (4%), Rimbaud (4%), Blake (3,9%).

Przeglądając się polskim nazwiskom na liście, uderza wysoka pozycja Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej i Baczyńskiego. Wyrazny jest też triumf poezji współczesnej — z dawnej ceni się przede wszystkim Norwida (zostawił w pokonanym polu i Mickiewicza i Słowackiego).

Odpowiedzi na czwarte pytanie odstawiają kłeskę poetów „pokolenia 68”. Dwa głosy na Ewę Lipską, jeden na Barańczaka, zupełna nieobecność Kornhausera, Zagajewskiego i Krynickiego — jakże wymowne są te wyniki! Potwierdzają one, iż czasy wielkiej popularności literatury „zaangażowanej”, literatury o wyraznym politycznym adresie, już minęły. Wiersze poetów Nowej Fali okazały się bardziej ulotne niż można było przewidzieć. W tym kontekście nie dziwią wcale opinie najmłodszych twórców, dla których poezja „pokolenia 68” stała się tradycją negatywną (w sensie tematów, hierarchii wartości czy wizji świata, nie zaś w sensie poetyki — ta jest podobna). Kto wie, czy powolny odwrót czytelnika od literatury uwikłanej w politykę, literatury roztrząsającej bogoojęzyczne problemy (gwoździ sprawiedliwości trzeba dodać, że niewielu czytelników dostrzega ewolucję poezji nowofalowej, np. Barańczaka), nie stanie się w niedalekiej przyszłości bodźcem dla ekspansji twórczości estetyzującej? Byłoby to naturalną konsekwencją zmęczenia pewnym typem pisarstwa, panującym niepodzielnie w ubiegłej dekadzie.

Wróćmy do naszej ankiety. Okazuje się, że nie wszyscy lubią poezję. I tak 4% respondentów zadeklarowało wprost swą niechęć do liryki, zaś 8% odpowiedziało, iż nie ma ulubionego poety. Najciekawsza była jednak wypowiedź następująca: „nie jestem starą panną!”. Wielce to interesujący przyczynek do dyskusji na temat rozumienia poezji oraz przeciwnego obrazu jej czytelników...

Wśród studentów filologii zwyciężył Zbigniew Herbert — 9 głosów przed Leśmianem — 8 głosów, Eliotem — 7 głosów, Norwidem i Miłoszem — po 6 głosów. Jedna osoba z tej grupy odpowiedziała, że nie lubi poezji. W grupie „niefilologicznej” najwięcej głosów otrzymali Jasnorzewska i Baczyński — po 11, za nimi znaleźli się Miłosz i Gałczyński — po 8 głosów (11%) oraz Herbert i Mickiewicz — po 7 głosów. Trzy osoby (4%) zadeklarowały swą niechęć do poezji, zaś osiem (11%) odpowiedziało, że nie ma ulubionego poety. U filologów dominowała poezja anglojęzyczna oraz poezja francuska. Tylko w tej grupie podano nazwiska Emily Dickinson, Johna Donne'a, Whitmana, Frosta, Yeatsa, Pounda, Reverdy'ego, Cummingsa. Studenci innych kierunków głosowali głównie na poezję polską — tylko na ich liście pojawili się Stachura i Mickiewicz.

Wśród studentek wygrała Pawlikowska-Jasnorzewska — 13 głosów, wyprzedzając Miłosza i Herberta — po 11 głosów oraz Baczyńskiego i Norwida po 9 głosów. Studenci najwięcej głosów oddali na Leśmiana — 6, po 5 głosów otrzymali Herbert, Gałczyński, Eliot i Mickiewicz.

MIŁOSZ NIEZNANY

Piąty, ostatni punkt ankiety był, jak już wspomnieliśmy, małym testem na znajomość literatury. Jak wypadł? Maksymalna ilość błędów jaka mogła się pojawić, wynosiła 1100 (11 pozycji razy 100 ankiet). Tymczasem

ogółem popełniono 386 pomyłek (daje to 35% możliwości), przy czym 113 błędów (10% możliwości) stanowiły mylne przyporządkowania, zaś 273 błędy (25% możliwości) polegały na nieprzyporządkowaniu tytułów nazwiskom. Tylko 22% wszystkich ankiet nie zawierało żadnych błędów.

Do najczęstszych złych przyporządkowań należały: przypisanie *Ziemi Ulro* Joyce'owi, *Ziemi jalojowej* Miłoszowi, *Fausta* Mannowi i *Doktora Faustusa* Goethemu oraz *Kompleksu polskiego* Miłoszowi, *Kompleksu Portnoya* Eliotowi i *Portretu artysty z czasów młodości* Miłoszowi. Najwięcej kłopotów mieli respondenci z *Ziemią jalojową* Eliota, którą łączono też z nazwiskami Rotha, Joyce'a, Miłosza, Konwickiego, Norwida, Wilde'a i Manna. Z kolei najlepiej znanymi pozycjami okazały się *Faust* Goethego (przypisany błędnie tylko Mannowi) i *Kwiaty polskie* Tuwima (przypisano je raz Norwidowi). Warto jeszcze dodać, jacy autorzy najczęściej zostawali nieprzyporządkowani (co może świadczyć o słabej znajomości ich dzieł): Joyce (przez 41% ankietowanych), Eliot (przez 37%) i Miłosz (przez 36%). Na drugim biegunie znaleźli się Goethe (nie przyporządkowany przez 4%) i Tuwim (1%).

Studenci filologii popełnili 44 błędy (14% możliwości), a aż 16 ankiet (55%) w tej grupie było bezbłędnych! „Grupa niefilologiczna” spisała się słabiej: 342 błędy (43,5% możliwości) i jedynie 6 ankiet (8,5%) bez złych odpowiedzi. Jeżeli chodzi o grupy kobiet i mężczyzn, wyniki były tu zbliżone.

Marcin Ciupek

P.S. Serdecznie dziękuję tym wszystkim, którzy pomogli mi w pracy nad niniejszą ankietą, w szczególności zaś: Agnieszce Sabor, Barbarze Koseckiej, Michałowi Staniaszkiowi i Arturowi Wołkowi.

CAMERA OBSCURA

„Dużo ŻEŚMY temu czasu poświęcili” — takie zdanie usłyszeliśmy z ust Jerzego Stuhra w programie telewizyjnym *Narody i stereotypy* (1 września). Właściwie trzeba było napisać: „takie zdanie żeśmy usłyszeli”, bo jeżeli dawny uczeń profesor Marii Dłuskiej, a obecny rektor PWST tak się wyraża, to znaczy, że owo nieszczęsne ŻEŚMY zdecydowanie zwyciężyło. Niestety!

(hm)

★

Mieczysław Grydzewski mówił podobno, że gdy w artykule znajduje się zdanie, iż bitwa pod Grunwaldem odbyła się w r. 1410, to na wszelki wypadek sprawdza w encyklopedii. Niestety, nasi współcześni autorzy i redaktorzy nie idą w jego ślady. Oto interesujący esej K.T. Toeplitza *Hold złożony w pustce* („Polityka” nr 36) o Matejce. Czytamy tu m.in., że „nad Krakowem panował miłościwie cesarz Austro-Węgier” — tymczasem cesarzem był on tylko dla Austrii, dla Węgier był królem. Dalej pisze autor, że krakowscy arystokraci oświadczyli w słynnym adresie do Wiednia, że „wijący się jak powój wokół tronu Najjaśniejszego Pana” — tymczasem zdanie to pochodzi z przemówienia Ignacego Daszyńskiego wygłoszonego na posiedzeniu Koła Polskiego 4 X 1916 r. Trudno zrozumieć, co miał na myśli Toeplitz, pisząc że ok. r. 1867 „stańczy” i konserwatyści odmładzali swoje szeregi. „Stańczy” byli bowiem wtedy sami młodzi i oni to właśnie odmładzali obóz konserwatystów. Wreszcie opowiada autor, że Wojciech Stattler, ówczesny rektor akademii krakowskiej, oglądając *Bitwę pod Grunwaldem* (1878) miał wznieść morderczy okrzyk: „Co tu butów, co tu spodni”. Otóż: 1) Krakowska Szkoła Sztuk Pięknych nie była jeszcze wówczas Akademią, a Stattler nie pracował w niej od r. 1867, 2) przytoczone słowa (dokładniej: „Cio tu butów, cio tu portek”) wyseplenil, oglądając nie *Grunwald*, lecz już *Rejtana* (1866).

(hm)

★

W tekście Małgorzaty Szejnert *Szcześliwie życie Aleksandra M.* („Gazeta Wyborcza” nr 204) można było przeczytać, że przodek po kądzieli Aleksandra Małachowskiego — Ścibor Redux Marchocki trafił do *Beniowskiego* Słowackiego jako „pyszałek, dziwak, i targowiczanie”, a przecież miał różne zasługi, m.in. w jego drukarni ukazał się pierwszy polski przekład *Hamleta* pióra Bogusławskiego. Wiele tu trzeba prostować. 1) Starosta z Beniowskiego ma tylko pewne rysy Marchockiego, ale nie występuje jako Marchocki. 2) Nie jest i nie może być targowiczanie, bo akcja *Beniowskiego* rozgrywa się w czasie konfederacji barskiej (inna rzecz, że autentyczny Marchocki do Targowicy przystąpił, co z kolei nie przeszkodziło Słowackiemu pisać o zaletach jego charakteru, przy różnych dziwactwach, w niedokończonyj francuskiej powieści *Król Ladawy*. 3) Pierwszy przekład *Hamleta* z r. 1797 rzeczywiście był pióra Bogusławskiego, ale ukazał się w roku 1821 w Warszawie; w drukarni Marchockiego pojawiło się w r. 1805 inne tłumaczenie — Jana Nepomucena Kamińskiego.

(hm)

WYDAWNICTWA SZKOLNE I PEDAGOGICZNE

00-950 Warszawa, plac Dąbrowskiego 8 tel. c. 26-54-51 (5), fax 27-92-80, telex 816132 WSiP pl

polecają popularnonaukowe książki historyczne:

Jerzy Eisler, Robert Kupiecki
NA ZAKRĘCIE HISTORII — ROK 1956.
Biblioteczka „Wiadomości Historycznych”

Pierwsza przygotowana i wydana po zniesieniu w Polsce cenzury praca na temat kryzysu 1956 roku reprezentująca w przystępnej formie najnowsz stan badań historycznych. Cena 20.000 zł

Marek Ney-Krwawicz
ARMIA KRAJOWA — SIŁA ZBROJNA
POLSKIEGO PAŃSTWA PODZIEMNEGO

Armia Krajowa — siła zbrojna Podziemnej Polski, której dzieje obrosły legendą. Jak była zorganizowana? Jakie były jej cele? Jakie osiągnięcia, jakie porażki? Na te i inne pytania odpowiada Autor. Książka jest bogato ilustrowana, część zdjęć była bardzo rzadko publikowana lub w ogóle do tej pory nie rozpowszechniona. Cena 38.000 zł

Marek Ney-Krwawicz
KOMENDANCI ARMII KRAJOWEJ

Na książkę składają się cztery eseje-biografie kolejnych Dowódców AK: Michala Tokarzewskiego-Karaszewicza, Stefana Roweckiego, Tadeusza Komorowskiego i Leopolda Okulickiego. Choć główny wątek ich działalności przypadł na okres wojny i okupacji, sylwetki późniejszych komendantów podziemnej armii ukazano też na tle polskiej działalności niepodległościowej przed i w czasie pierwszej wojny światowej, w której to działalności każdy z nich brał aktywny udział. Cena 28.000 zł

Zapraszamy do księgarni firmowych
w Warszawie: ul. Kredytowa 9 i pl. Dąbrowskiego 8
tel. 26-54-51 w. 180, 26-75-70, 26-01-76
oraz w Krakowie, ul. Sławkowska 11
tel. 22-47-73, fax 22-31-28

Robert Kupiecki
„NATCHNIENIE MILIONÓW”.
KULT JÓZEFA STALINA W POLSCE 1944-1956

Jest to próba przedstawienia procesu narastania i powolnego zamierania kultu Stalina w Polsce. Książkę opatrzone aneksem, w którym podano tytuły jakimi obdarzano „Największego przyjaciela Polski”, „Natchnienie milionów” w polskich środkach przekazu. Cena 65.000 zł

Janusz Mechanisz
POCZET KOMPOZYTORÓW POLSKICH

Autor, korzystając ze sprawdzonych w popularyzacji formuły pocztu, przedstawia panoramę dziejów muzyki polskiej — od „Bogurodzicy” po współczesność. Książka bogato ilustrowana, uzupełniona wybranymi tekstami literackimi i wypowiedziami o muzyce naszych najwybitniejszych kompozytorów. Autor nie stroni od anegdot i ciekawostek. Publikacja adresowana do melomanów, młodzieży szkolnej i naukowców, a także do Polaków mieszkających za granicą. Cena 55.000 zł



Dział Sprzedaży Hurtowej WSiP
Warszawa, ul. Grochowska 21
(tel. 610-69-06, tel./fax 610-67-95)
Dział Handlowy WSiP
Warszawa, ul. Pankiewicza 3, tel. 21-26-39

DEKADA LITERACKA — dwutygodnik kulturalny. Wydawca: KRAKOWSKA FUNDACJA KULTURY, ul. Kanonicza 7, 31-002 Kraków, tel. 22-47-73. Adres redakcji: ul. Kanonicza 7. Redakcja: Marta Wyka (redaktor naczelny), Zbigniew Baran, Leszek Elektorowicz, Krzysztof Lisowski, Włodzimierz Maciąg, Aleksander Pieniek (grafik), Jan Prokop, Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska, Teresa Walas. Współpracują: Danuta Abrahamowicz, Stanisław Balbus, Anna Baranowa, Wacław Iwaniuk (Kanada), Julian Kornhauser, Stanisław Lem, Jerzy Lohman, Leszek A. Moczulski, Maria Niemojowska (Londyn), Tadeusz Nyczek, Leszek Polony, Stanisław Rodziński, Małgorzata Ruda, Jan Józef Szczepański, Witold Turdza. Skład i łamanie: ARTA WYDAWNICTWO, Kraków, Rynek Gł. 30, tel. (0-12) 22-95-98, 22-97-71, fax (0-12) 22-58-70. Druk: Drukarnia ASSICO, 90-532 Łódź, ul. ks. Skorupki 17/19. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: kwartalna wynosi 55 000 zł, półroczna 110 000 zł, a roczna 220 000 zł; za granicą kwartalna wynosi (licząc w dolarach USA) 10\$, półroczna 20\$, a roczna 30\$. Wpłaty prosimy dokonywać na: Krakowska Fundacja Kultury, Bank Przemysłowo-Handlowy, IV Oddz. w Krakowie — nr 323415-709987-132-3 ISSN 0867-4094

Włodzimierz Paźniewski

4 czerwca 1933 roku Josif Wissarionowicz Stalin podpisał do realizacji projekt największego budynku świata, przy którym Empire State Building w Nowym Jorku trzeba nazwać karlem. Autorami Palacu Sowietów byli: Jofon i Szczuko. W tym miejscu trudno lekceważyć matematykę. Budynek miał wspiąć się na wysokość 415 metrów, co daje 150 pięter. A na dachu? Łatwo zgadnąć — stumetrowy posąg wodza rewolucji, trzy razy wyższy niż Statua Wolności. Dane techniczne, które przytoczę, przeznaczone są wyłącznie dla maniaków: długość palca wskazującego Włodzimierza Iljicza — 6 metrów, długość stopy — 14 metrów, szerokość ramion — 32 metry. W ten sposób objawił się nieuleczalny bzik sowiecki: przegonić Amerykę! Dzieje tej budowli, która nigdy nie powstała, przytacza w „Imperium” Ryszard Kapuściński. Dla mnie historia Palacu Sowietów jest symbolem byłego Związku Radzieckiego, ponieważ nic w sposób bardziej zwięzły nie przedstawia sprzeczności pomiędzy ambitnym, choć absurdalnym zamiarem a oplakany, właściwie żadnym, rezultatem.

Istnieje fińskie powiedzenie: „Rosji nikt nie zaprasza, Rosja przychodzi sama”. Pisać o Rosji to znaczy ścigać się z niezrównanymi listami de Custine’a i książką Jana Kucharzewskiego „Od caratu białego do czerwonego”. De Custine był francuskim dyplomatą, Kucharzewski — historykiem i politykiem. Kapuściński nie przegrał wyścigu, ponieważ „Imperium” staje się koniecznym uzupełnieniem książek obydwóch autorów.

Esej o jego pisarstwie mógłby zaczynać się zdaniem: „Na początku była podróż”. Nie wiem czy ktoś zwrócił uwagę na kategorię podróży w twórczości Kapuścińskiego. Intuicja podpowiada, że marzenia o wędrówkach były jedynym mieniem, jakie zdołał zabrać ze swojego rodzinnego Polesia. W tym miejscu pora na dość karkołomną tezę, że pragnienie podróży pojawiło się u pisarza za sprawą Marynarki Wojennej, która posiadała przed wojną na Polesiu Flotyllę Pińską. Widok kanonierek w porcie wojennym w Pińsku i marynarzy na ulicach pobudzał wyobraźnię. Bardzo pasuje mi w tym miejscu obraz kilkuletniego chłopca, który siedząc na starej kotwicy wbitej w ziemię, obser-

wuje kołyszące się na wodzie monitory. Niewykluczone, że w roli tej wystąpił przyszły autor „Imperium”.

Specjalnością Kapuścińskiego stała się choroba władzy, której pisarz niby pielęgniarz wkłada pod pachę termometr, a potem skrupulatnie sporządza kartę gorączkową. Kiedy przychodzi agonía w przedpokoju czeka Klio, muza historii, z gotowym aktem zgonu. Kapuścińskiego szczególnie interesuje moment zaślepienia władzy, która nie dostrzega nadchodzącej katastrofy, przeciwnie — oznaki śmiertelnej choroby bierze nawet za oznaki zdrowia i siły, ponieważ ostatecznie każda władza lubi być bezgranicznie z siebie zadowolona. W tym miejscu przypomnijmy sobie „Cesarza”. Ta proza nie potrzebuje reklamy, jednak dyskretnie liczy na odbiorcę, który nie przestał używać tej galaretowatej substancji zwanej mózgiem. Dzieje się tak dlatego, ponieważ ze wszystkich władz autor „Imperium” najbardziej zdaje się szanować władze umysłowe. Pisarz moralizuje, ale nie jest moralistą, żongluje faktami historycznymi, lecz nie uprawia historii zawodowo. Do tego należy dodać niezwykłą magię języka.

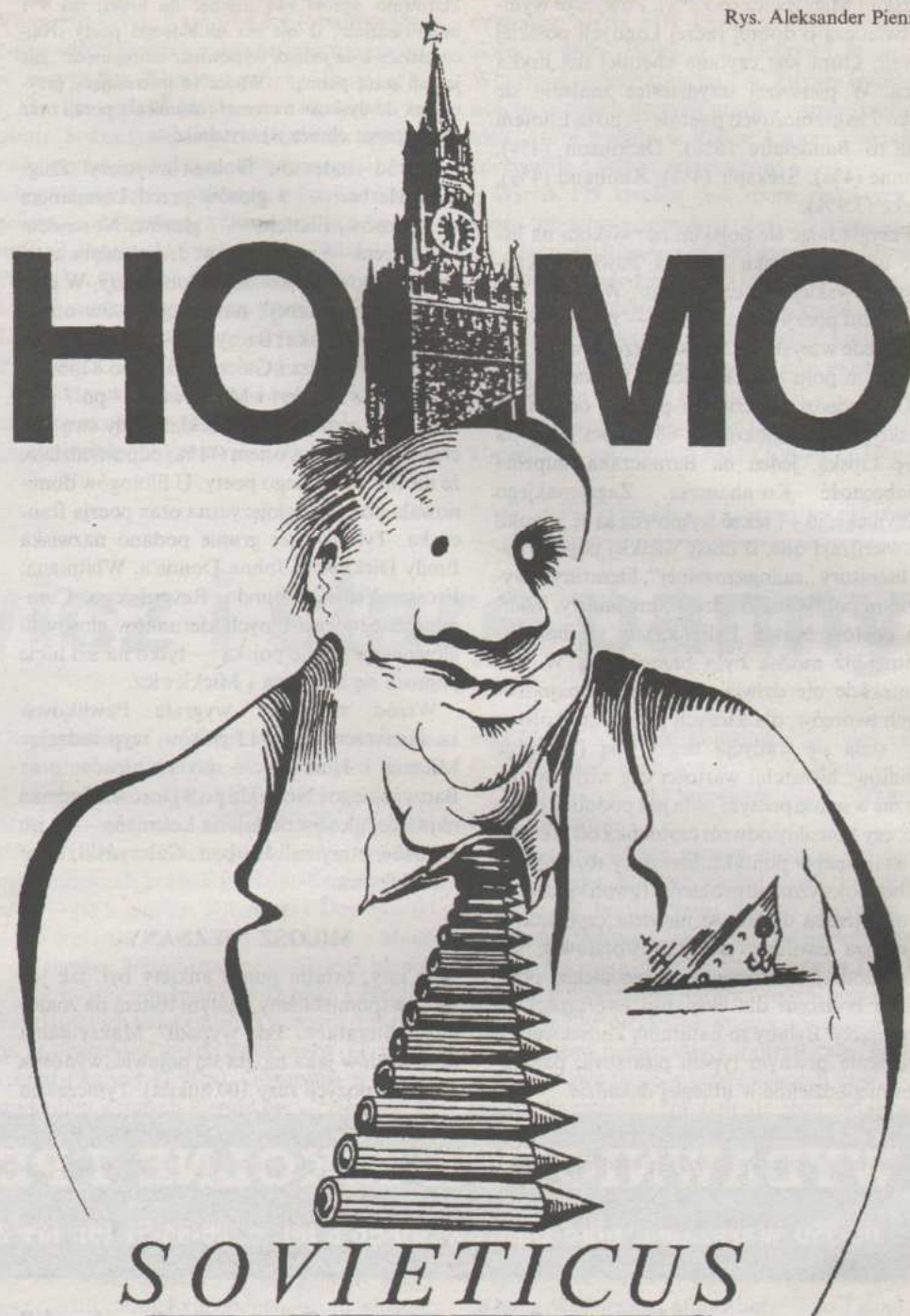
Pod koniec ubiegłego wieku pewien pobożny rabin z Pińska w pierwszy czwartek każdego miesiąca wynajmował łódź i kazał się wieźć do miejsca, gdzie Pina wpada do Prypeci, i tam do zmierzchu oczekiwał przybycia Mesjasza. Według wierzeń poleskich cadyków miał on bowiem przypląć łodzią przebrany za rybaka. Wypatrując Mesjasza odmawiał modlitwy, choć właściwie nie były to modlitwy, lecz klótnie z Bogiem, czasem polajanki:

— Znów dopuściłeś do spadku cen na raki — wołał. — Dlaczego ty jesteś taki małostkowy, jakby ci zależało na puszczaniu z torbami kilkudziesięciu biedaków! Ja ci stale idę na rękę, a ty mi wbrew!

Albo:

— Czy naprawdę nie nie mogłeś uczynić, aby piorun nie uderzył w dom szewca Silbersteina? Niech to zostanie między nami, lecz nie popisałeś się tego popołudnia.

Pisarstwo Ryszarda Kapuścińskiego, urodzonego w Pińsku, (co za wspaniały zbieg okoliczności) to takie wyklócanie się z Bogiem o prawdę, rozsądek i sprawiedliwość.



HYDE PARK Czytelników

Tym razem pragniemy zasygnalizować pojawienie się interesującego tomu wierszy nauczyciela z Dębnicy Kaszubskiej, JERZEGO FRYCKOWSKIEGO pt. *Aleja dusz*. W nim jeden z wierszy, będących bezpośrednią reakcją poety na tzw. rzeczywistość.

Moja ulica

Ulica na której mieszkam jest bardzo pechowa co kilka lat okazuje się że jej patron był najzwyklejszym mordercą służby komunalne zmieniają niebieskie tabliczki a listy przez pierwsze tygodnie błądzą po całym mieście zanim nie trafią do adresatów nikt jeszcze nie wpadł na to by moją ulicę nazwać Ulicą Nadziei

Krzysztof
Lisowski

HUMORESKA Proces

Właśnie kończyłem lekturę *Listów do Mileny*, wznowionych przez Wydawnictwo Literackie, by napisać tekst o wielkiej miłości Franza Kafki do Mileny Jesenskiej, gdy córka poinformowała mnie, że listonosz przyniósł jakąś przesyłkę. Byłem zbyt zajęty perypetiami uczuciowymi samotnika z Pragi, więc listem zainteresowałem się dopiero

nazajutrz. Adres mój, imię i nazwisko, także kod.

Prawdopodobnie podskoczyło mi ciśnienie, gdy zorientowałem się, że na kopercie widnieje pieczęć sądu z Warszawy. Cóż to u licha? Kiedy kopertę otworzyłem, zdziwiłem się jeszcze bardziej. Oto ni mniej ni więcej zostałem poinformowany o zasądzeniu na rzecz znanej stołecznej gazety sumy 348 mi-

lionów (obym kiedyś miał tyle na raz!) z powodu mojego niewywiązywania się z obowiązku kolportażu tejże. Ładnie. I co teraz?

Jeżeli ktoś mi powie, że literatura nie ma wpływu na rzeczywistość, to nie uwierzę. Przeczytałem — dla przypomnienia — pierwsze zdanie dzieła Kafki: „Ktoś musiał zrobić doniesienie na Józefa K., bo mimo że nic złego nie popełnił, został pewnego ranka po prostu aresztowany”. Zacząłem się zastanawiać, jak teraz i przed kim mam udowodnić swoją niewinność i to, że ja... to kto inny.

Poszedłem do krakowskiej ekspozytury owej gazety i sprawę wyłuszczyłem. Przyjęto mnie z uprzejmym zdziwieniem, wylegitymowałem się dowo-

dem osobistym i zostawiłem wizytówkę oraz przysłane papiery. Jeszcze tego samego dnia miły damski głos poinformował mnie przez telefon, że procedura wymaga, abym papiery osobiście odesłał do Warszawy, dołączając do nich oświadczenie o moim, nazwijmy to, dość luźnym związku ze sprawą. Zostałem wstępnie przeproszony za całe to zamieszanie, dowiedziałem się, że moje dane sąd wyczytał z głównego rejestru nazwisk.

Wysyłam więc do stołecznej sądu list, mając nadzieję, że nie otrzymam informacji, którą Kafka zamieścił także na pierwszych stronach *Procesu*: „Wdrożono już dochodzenie i w swoim czasie dowie się pan o wszystkim”.